

Marta Kisiel

ilustracje Paulina Wyr

Małe Licho

i anioł z kamienia

Marta Kisiel

Małe Licho i anioł z kamienia

Ilustracje Paulina Wyrta



Tekst © Marta Kisiel, MMXIX
Ilustracje © Paulina Wyrst, MMXIX
Wydanie I
Warszawa, MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Małe Licho i anioł z kamienia

Jaśkowi, któremu na pewno kiedyś tak zostanie

Małe Licho i anioł z kamienia

Aż wreszcie przyszły święta.

No, może nie tak od razu. Najpierw trzeba było jakoś przetrwać ten czas między szóstym a dwudziestym czwartym grudnia, który ciągnął się bardziej niż ostatnia piątkowa lekcja. Czas, kiedy po słodkościach z mikołajkowych paczek zostały jedynie papierki; kiedy dorośli ciągle dyskutowali o tym, czy śnieg raczy spaść, czy też niekoniecznie i znowu będzie chlapa; kiedy każdy żarłok buszujący po kuchni czy spiżarni coraz częściej, coraz głośniejszy słyszał „zostaw, to na święta!”, a sklepowe witryny i telewizyjne reklamy wprawiały w drżenie dziecięce serca, raz po raz zaprzątane pytaniem najważniejszym z ważnych – jakież to cuda w tym roku znajdują pod choinką?

Akurat w tej kwestii Bożydar Antoni Jekiętek (ostatnio częściej zwany Bożkiem niż Niebożątkiem) zwykł niczego nie zostawiać przypadkowi. Jak co roku do pisania listu do Wielce Szanownej Pani Gwiazdki zasiadł już w czerwcu, żeby mu potem nic nie umknęło w przedświątecznym rozgardiaszu. A raczej nie tyle zasiadł, ile rozłożył się na kocu przy stawie, by spisywać marzenia i wcinąć truskawki z ogródka, soczyste i pachnące słońcem. Wersję drugą sporządził w lipcu, bo przypomniało mu się, że o czymś zapomniał. W sierpniu zmieniał zdanie aż trzykrotnie, nie mogąc się zdecydować, który zestaw klocków wolałby bardziej. We wrześniu z kolei poszedł do szkoły i odkrył, jakież to cuda zaprzętały głowy jego rówieśników, i wtedy poszło już z górki... W rezultacie, po wielu przemyśleniach i rozmyśleniach, podkreśleniach i skreśleniach, z początkiem grudnia na parapecie w Bożkowym pokoju spoczęła koperta z trzydziestą drugą wersją listu do Gwiazdki (poprawioną, rozszerzoną i tym razem na pewno, ale to na pewno ostateczną), trzydzieści jeden jej poprzedniczek zaś wypełniało po brzegi pudełko po butach (męskich, rozmiar czterdzieści pięć). Następnego ranka okazało się, że nocą zniknęła sposobem magicznym i niewyjaśnionym, chociaż okno było

zamknięte na cztery spusty, a Gucio czuwał pod łóżkiem, łypiąc oczkami, czuwał niezmordowanie – a przynajmniej do momentu, kiedy zasnął i już nie łytał – i Bożydarowi Antoniemu Jekiełkowi pozostało jedynie czekać na pierwsze oznaki zbliżających się świąt.

Tą najnajpierwszą oznaką, że to Prawie Już, były generalne porządki. Obowiązkowo wielkie, wręcz olbrzymie! Licho, czyli anioł stróż Bożka, choć ciałem niezbyt okazałe, nawet gdy rozpostarło skrzydełka, to namiętnością do porządków mogłoby swobodnie obdzielić szwadron zawodowych sprzątaczy. Sprzątało z pasją i rozmachem, niezmordowane, rozprawiając się z kurzem, pajęczynami i bałaganem, który nieustannie próbował załęgnać się w kątach, szufladach czy pod łóżkami. Potem wzięło się do mycia okien, trzepania dywanów i chodników, pucowania lusterek oraz kloszy we wszystkich lampach i żyrandolach, by tydzień później wkroczyć do najostatniejszego z licznych pomieszczeń, mianowicie do kuchni.

A kiedy i tam zapanował wreszcie ład nad ładami, wkrótce pojawiła się oznaka druga, którą Bożek lubił chyba najbardziej. Foremki do wycinania ciastek, przez miniony rok spoczywające w pudełku gdzieś w czeluściach spiżarni, teraz zostały uroczyście wydobyte na światło dzienne i przekazane w jego niecierpliwe ręce. Mama powtarzała, że to taki świąteczny cud. Jak na co dzień Bożka trzeba było zaganiać do umycia choćby łyżeczki, tak ten jeden raz w roku aż rwał się do roboty, a nawet obrażał, ilekroć ktoś próbował go uprzedzić czy wyręczyć. Każdą foremkę szorował i wycierał dokładnie do sucha, sprawdzając, czy nie ma na niej żadnych zacieków ani śladów rdzy. Zatem gdy pewnego leniwego sobotniego popołudnia woń korzennych przypraw, woń, której nie dało się pomylić z niczym innym, wypełniła cały dom od strychu po piwnicę, Bożek sam popędził do kuchni, gdzie Krakery zagniatą lepkie od miodu pierniczkowe ciasto. I to aż poczwórną porcją, której nie umiały sprostać żadne ludzkie ręce, a wszystko dlatego, że ciasto na świąteczne pierniczki posiadało niepojętą właściwość – chociaż w piekarniku przybierało na objętości, to jednocześnie

koniec końców zawsze okazywało się, że wyszło go za mało. Potem trzeba było jeszcze odczekać godzinę, aż ciemnobrązowa, aromatyczna kula schłodziła się należycie i mogła opuścić lodówkę. Dopiero wtedy Bożek, Licho i Gucio zasiedli przy kuchennym stole i wzięli się do dzieła, czyli – jak mawiał wujaszek Turu – wielkiego świątecznego pierniczenia.

Ach, jakież to było wspaniałe! Raz po raz któryś z domowników zaglądał do kuchni, aby się uśmiechnąć i ponapawać tym pachnącym, czystym szczęściem. Nawet dzinn Bombaj zażądał, żeby go postawić na lodówce, skąd miał doskonały widok na stół. Zupełnym przypadkiem wujek Konrad akurat tego dnia wyjątkowo często potrzebował kawy i co rusz przychodził, żeby zaparzyć sobie świeżą filiżankę. I również zupełnie przypadkiem ta filiżanka za każdym razem parzyła się co najmniej kwadrans, dlatego wujek, chcąc nie chcąc (ale tak naprawdę chcąc), tego popołudnia spędzał więcej czasu w kuchni niż przy komputerze. Z jakiegoś powodu wcale mu jednak nie przeszkadzało, że zamiast pracować, stał ramie w ramie z wujaszkiem Turem i obaj chichotali radośnie. Nie z Bożka, chociaż Bożek uwielbiał wycinać pierniczki, co było widać. Ani z Licha, które też uwielbiało wycinać pierniczki, co było widać jeszcze bardziej. Ale nawet obaj wzięci, chłopiec i jego anioł, nie mogli się równać z Guciem.

Och, tak. Gucio kochał pierniczenie chyba nawet bardziej niż tarzanie w brokacie, tarzanie w błocie i tarzanie w piaseczku. I to też było widać doskonale. Z początku przycupnął grzecznie na krześle, szybko jednak tak się zapamiętał, że wlaź na stół. Dobrze, że mama zawczasu wpakowała go do wanny i wyszorowała gąbką, i to tą szorstką stroną! Teraz intensywnie pachniał wanilią i wszystkimi mackami naraz zagniatał mniejsze kulki, wałkował, wykrawał i odkrawał. Jego ciemne cielsko aż lśniło od pierniczkowej lepkości. Tumany mąki, którą od serca posypywał blat stołu, co rusz wzbijały się w powietrze i właziły mu do rozlicznych oczek, lecz mały potwór w ogóle nie zwracał na to uwagi.

– MROAAARRRRRRRRR! – zabalgotał załośnię, próbując wytrząsnąć resztki mąki z wymiętej papierowej torebki. Wtedy

z piwnicy wyłoniła się inna macka, znacznie większa i czystsza. Sięgnęła do spizarni po świeżą torebkę, postawiła ją na stole, a potem poklepała małego potwora po łebku.

– Pffflompp – podziękował Gucio i wrócił do radosnego tyłtłania się w mące.

Tymczasem Bożek i Licho, każdy pochylony nad swoim kawałkiem ciasta, w skupieniu wykrawali kolejne pierniczki. Cała sztuka polegała na tym, żeby w pojedynczym placku zmieścić jak najwięcej różnorodnych kształtów. O ile wycinanie było bowiem zajęciem, do którego garnęli się wszyscy, o tyle wałkować z mozołem nie chciało się nikomu. (No, nikomu poza Guciem. Gdyby mu pozwolić, Gucio rozwałkowałby wszystko, ze stołem włącznie). Z tego przejęcia Licho zapomniało kichać, a Bożek aż wysunął koniuszek języka, co jak wiadomo nie od dziś, niezmiernie pomaga w czynnościach precyzyjnych.

– Coś mi dzwoni, że foki są raczej... rzadko spotykanym motywem świątecznym – rozległo się nagle tuż za plecami chłopca.

Bożek oderwał na moment wzrok od swoich pierniczek i spojrzał w górę. Wujek Konrad, z filiżanką w dłoni, stał nad nim i zaintrygowany przyglądał się wyciętym ciasteczkom.

– Foki... i żyrafy – dodał i przechylił głowę, mrużąc oczy. – Oraz... hm... czy to koala?

– Panda – poprawił Bożek i zupełnie niezrażony zawołowaną krytyką wrócił do wykrawania.

– Panda – powtórzył wujek. – Świąteczna panda.

– No.

– A czy świąteczna panda przynosi niegrzecznym dzieciom różgi z bambusa?

– Gdzie, co ty, jakie znowu różgi? – obruszył się wujaszek Turu, który czegoś intensywnie szukał. Sądząc po odgłosach, jakie dobiegały ze spizarni, chodziło o coś bardzo blaszanego i bardzo schowanego. – Niegrzeczne dzieci dostają węgiel!

– Od koali?

– Pandy – poprawił Bożek, wycinając kolejnego misia.

– Dobra, niechby to był... o, pingwin. – Ze sterty foremek wujek Konrad wyciągnął odpowiednią i zaprezentował. – Proszę bardzo.

Pingwina bym jeszcze zrozumiał. Pingwin kojarzy się ze śniegiem i z zimą, zima ze świętami, czyli ma to sens, chociaż... Chociaż z drugiej strony, czy ja wiem, pingwin w stajence? Nie, to już raczej ta żyrafa... Chociaż z trzeciej strony wątpię, żeby w tamtych rejonach Morza Śródziemnego żyły żyrafy... Prędzej szakale. Albo sępy.

Ze spizarki wychyliła się brodata, dobrotliwa gęba wujaszka Tura i cmoknęła z dezaprobatą.

– Tak, tak, bratku, bo szakale i sępy doskonale pasują do stajenki. W przeciwieństwie do koali.

– Pandy – poprawił Bożek cierpliwie.

– Jeden pies.

– A... a czy to ważne, alleluja? – zapytało naraz Licho. Przysłuchiwało się tej rozmowie po części z ciekawością, po części zaś z trwogą, jako że właśnie skończyło wycinać piernikowego łosia, nietoperza i jednorozca. Wyszły mu przepięknie i przez chwilę było dumne nad wyraz, tyle że teraz to już samo nie wiedziało, co z nimi począć, alleluja. Łoś od biedy mógł się zakamuflować między gałązkami choinki i podszywać pod renifera, a jednorozec miał na czubku rogu gwiazdę prawie że betlejemską, ale co z nietoperzem...? Zachodziło w głowę, czy nie dałoby się go szybko przerobić na wielbłąda. Albo pastuszka. Albo źłóbek.

– Oczywiście, alleluja, że to ważne – odpowiedział mu chłodny głos. Na jego dźwięk wszyscy zebrani w kuchni jak jeden mąż obrócili się w stronę drzwi.

Na kuchennym progu stanął Tsadkiel. On również był aniołem stróżem, tyle że zupełnie innym niż pocieszne Licho. I nie chodziło wyłącznie o rozpiętość skrzydeł. Licho ledwo wystawało ponad stół (chyba że wspięło się na paluszki, to wtedy bardziej), włosy miało jak z celofanu, który zabawnie szeleścił i mienił się w świetle, a na świat patrzyło tęczowymi oczami i równie tęczowym sercem. Bo choć malutkie i po dziecięcemu naiwne, naiwniejsze nawet od Bożka, to w dziewięćdziesięciu procentach składało się z miłości, w pozostałych dziesięciu zaś z kataru. Kochało wszystkich bez wyjątku, nawet jeśli, jak mawiało, była to trudna miłość, alleluja. Wydawało się wprost stworzone do tego, żeby je przytulać, i jednym

uśmiechem umiało odegnać smutki i troski, gdzie natomiast uśmiech nie pomagał, tam sięgało po kakao. Tymczasem Tsadkiel zawsze sprawiał wrażenie, jak gdyby dopiero co raczył łaskawie zstąpić z obrazka między ludzi i inne żyjątka. Włosy miał długie, złociste i lśniące, oczy jak dwa ametysty w blasku słońca, a jego śnieżnobiałe skrzydła, nawet złożone, ledwo mieściły się w drzwiach. Przy tym był tak wysoki, tak piękny i tak dostojny, że na jego widok wszelkie stworzenie aż zamierało z wrażenia. Oraz – co w nim uderzało najbardziej – tak nieprzystępny, że z powodzeniem mógłby udawać rzeźbę z zimnego marmuru. Zwłaszcza gdy przystawał, by spojrzeć na świat krytycznie z wyżyn swej doskonałej, niewzruszonej anielskości. O, właśnie tak jak teraz.

– Wręcz arcyważne – uściślił ze wzrokiem utkwionym w malutkim aniele. – Chodzi o sens. W kontekście świąt foki, żyrafy i koale...

– Pandy.

– ...sensu nie mają. Innymi słowy, są niekompatybilne z tradycją.

– A... a nietoperze...? – pisnęło Licho, głaszcząc nieszczęsny pierniczek. – Nietoperze może nie są pom... pomponpatybilne, ale są mięciusie i milusie, i-i-i mają takie tycie oczka...

– Doprawdy, alleluja.

Wujaszek Turu w końcu wycisnął się ze spiżarni. Zmarszczył groźnie czoło, aż jego jasne brwi zetknęły się nad nosem. W mocarnych łapskach dzierżył sporych rozmiarów gar, nieco już wysłużony i poobijany. Trzymając go przed sobą niczym tarczę, natarł na dumnego anioła.

– Czekaj, czekaj, bratku. Bo ja dotąd myślałem, że w całej tej hecy ze świątami to chodzi o radość, o bliskość, dzielenie się i takie tam... no wiesz. Pierdółki. Że to jest właśnie ten twój arcyważny sens.

Tsadkiel przewrócił ametystowymi oczami.

– Doprawdy, alleluja – prychnął. – Świąta to poważna sprawa, dwa tysiąclecia tradycji! Nie można ich obchodzić ot tak sobie, wedle uznania, jak się komu podoba!

– No co ty nie powiesz... – mruknął pod nosem wujek Konrad, mrużąc przy tym powieki. I wtedy wszyscy – Bożek i Licho,

i wujaszek, i Guccio, i nawet dzinn skłębiony w butelce – otóż wszyscy znieruchomieli, bo wiedzieli już, co się święci. Bo nikt inny nie umiał stawić czoła Tsadkielowi tak jak wujek, kiedy zerkał z ukosa na swego osobistego anioła stróża. Wart Pac pałaca, mawiał w takich okolicznościach wujaszek Turu, który zwykle śledził starcia tych dwóch niczym mistrzostwa świata w zgryźliwości, lecz nie tym razem. Tym razem chodziło o nastrój, o radość przedświątecznego pierniczenia, o uśmiech na pyzatyach gębach Bożka i Licha, a zatem o sprawę istotną, ważną, fundamentalną wręcz! Nie czekał zatem, aż błysk w oku Konrada przerodzi się w pierwszą kąśliwą uwagę, tylko z miejsca wkroczył między człowieka a jego anioła.

– Wiesz co, Zadkieleczku ty mój? – zaczął radośnie i odstawiwszy gar na szafkę, stanął tuż przed Tsadkiem. Może nie dorównywał mu wzrostem, za to zdecydowanie miał przewagę w masie i właśnie postanowił ją wykorzystać. Bez pardonu natarł na anioła potężnym brzuszyskiem. – Ty lepiej nie kłopot się, tylko idź – bęc brzuchem – przeliczyć zapasy – znowu bęc – papieru toaletowego – i bęc – na mieszkańca – i jeszcze raz bęc. – No, pospiesz się. Pókim dobry.

Wybęcany z kuchni Tsadkiel obciągnął koszulę.

– Jak tam chcesz – rzekł, starannie kryjąc urazę. Już miał odejść, zaraz jednak odezwała się w nim natura perfekcjonisty. Z wysokości pierwszego stopnia schodów obejrzał się jeszcze przez ramię na Tura. – W metrach kwadratowych czy bieżących?

– Zaszalej.

Cóż, z tak postawioną sprawą trudno było dyskutować. Rosły anioł z godnością wspiał się schodami na piętro, żeby w zaciszu swego pokoju zająć się wstępem do inwentaryzacji zapasów papieru toaletowego, którą traktował równie poważnie jak święta. A nawet poważniej.

– No już, już, nie frasuj się tak, aniołeczku – powiedział wujaszek, wróciwszy do stołu. Pogładził przejęte Licho po głowie. – Tsadkielek nie umie w nastrój. Tsadkielek jest zadaniowy, rozumiesz. Musi mieć zajęcie, inaczej mu się merda pod kopułką. No, skończył pierniczyć? To chodź, będziemy dziurkować.

Guciovi nie trzeba było powtarzać. Ze straszliwym rumorem przewalił się ze stołu na oparcie krzesła, które przechyliło się pod jego ciężarem. Lecz zanim zdążyło upaść, mały potwór zręcznie przeskoczył na blat kuchennej szafki i zaczął gmerać w trzech szufladach naraz, aż w końcu dogrzebał się do paczki grubych rurek do napojów, trzymanyh w domu specjalnie na tę okazję. Chwilę później cała trójka dziurkowała te pierniczki, które po upieczeniu i dekoracji miały zawisnąć na choince.

Gdy uporali się z tym zadaniem i na uprzątniętym blacie zostały już tylko rzędy surowych ciasteczek, wielkie, ciemne macki wypchnęły wszystkich z kuchni. Nadeszła bowiem pora na majstrowanie przy gorącym piekarniku i żonglowanie blachami, co przy gabarytach i rozmachu Krakera wymagało sporo miejsca, o ile chcieli uniknąć poważnych obrażeń. Wujek Konrad wrócił więc do pracy, wujaszek Turu poszedł do sklepu, a Bożek, Licho i Gucio pognali do łazienki, żeby doprowadzić się do porządku. No i omówić strategię dekorowania, rzecz jasna!

Był już wieczór, kiedy znów zebrali się przy kuchennym stole. Gucio napełnił jeden rękaw cukierniczy polewą z mlecznej czekolady, drugi lukrem białym, trzeci lukrem zielonym, czwarty zaś żółtym. Smarował pierniczek za pierniczkiem i obtaczał w spożywczym brokacie, mruczając przy tym, bulgocząc i fukając. Również i Licho, zbrojne w lukrowe pisaki w pięciu kolorach oraz kilogram cukrowych perełek, gwiazdek i śnieżynek, szalało na całego. Tymczasem wujaszek Turu z pomocą Krakera szorował i wyparzał pomarańcze, które – pokrojone w grube plastry – lądowały następnie w garze pełnym wina, razem z cynamonem, kawałkami imbiru, goździkowymi łebkami i laskami cynamonu, i gotowały się pomalutku, niespiesznie. Akurat ten przysmak był zarezerwowany dla dorosłych, za to dzieci i nieletnie stworzenia nadprzyrodzone mogły liczyć na świąteczną herbatę z podobną wkładką.

W tym całym zamieszaniu nikt nie zwracał szczególnej uwagi na Bożka, który siedział z boku i bez przekonania skrobał coś od kwadransa wciąż na tym samym pierniczkowym lisie. Wydawał się

bardziej pochłonięty własnymi myślami niż dekorowaniem czy charakterystycznym, ni to słodkim, ni to ostrym zapachem, który coraz wyraźniej dobywał się z wujaszkowego gara.

Dopiero wujek Konrad, gdy znów zaszedł do kuchni, zauważył marsową minę chłopca. Pstryknął ekspresem do kawy, a potem usiadł na ostatnim wolnym krześle. Sięgnąwszy dla niepoznaki po pierniczka i lukrowy pisak, skinął głową, jak gdyby pytał: „No co tam?”.

Bożkowi nie umknęły ani ta obecność, ani skinienie, ani nieme pytanie, jakie się za tym skinieniem kryło, ale dopiero po chwili wydusił z siebie:

- Wujku... a czy ja... no... a czy ja mogę?
- A co takiego?
- No WIESZ.

Wujek Konrad uniósł brew, ale tylko trochę, na znak, że nie, właśnie w tym sęk, że nie wie. Bożek westchnął ciężko. Dorośli bywali tacy niedomyślni...

– No bo... – zaczął nieśmiało, to jednak wystarczyło, żeby duszone dotąd słowa zaraz popłynęły same. – No bo wczoraj w szkole pani powiedziała, że w poniedziałek, znaczy, pojutrze, będzie klasowa Wigilia i będziemy śpiewać kolędy, i ja powiedziałem pani, że ja nie znam żadnych kolęd, więc pani powiedziała, że to nie szkodzi, że się zdążę nauczyć, ale wtedy Witek powiedział, że ja nie mogę śpiewać kolęd, bo przecież nie chodzę na religię, a kolędy są tylko dla tych, co chodzą, i klasowa Wigilia też, i choinka, i prezenty, i ferie świąteczne, i w ogóle wszystko, więc pani mi na pewno postawi jedynekę i ja nic nie dostanę. Nic a nic. Tylko tę jedynekę – dodał z rozżaleniem i trzeba uczciwie przyznać, że w tym momencie wujek Konrad naprawdę dał z siebie wszystko, żeby nie parsknąć śmiechem. A Bożek skarżył się dalej: – No bo ja przecież naprawdę nie chodzę na religię, a święta są takie religijne i w ogóle. Witek tak mówił i Tsadkiel też mówił, że to tak nie wolno świętować, jak się chce, i w podręczniku też o tym jest, o tych wszystkich tradycjach i w ogóle, i ja już naprawdę nie wiem, czy jak się nie chodzi, to czy wtedy w ogóle można... – dokończył Bożek.

– Wszystko można, jaśnie Bożęty, wszystko można – odparł wujaszek Turu znad gara. – Byle wolno i z ostrożna!

Wujek Konrad też westchnął. Dorośli bywali tacy niepoważni...

– Widzisz, Bożku, z tymi świętami to jest tak. Jeszcze przed całą tą hecą z Bożym Narodzeniem, stajenką i tak dalej... długo, naprawdę długo przed – uściślił po krótkim zawahaniu – ludzie obchodzili święto przesilenia zimowego. Na naszej półkuli wypadało właśnie w grudniu. Różnie to się nazywało, ale zawsze chodziło o to samo. O najdłuższą noc i najkrótszy dzień roku, o ciemność i światłość, symboliczną śmierć i odrodzenie słońca. I właśnie to świętowano, Bożku. Radość, nadzieję. Nowe życie, które miało wkrótce nadejść wraz z wiosną.

– A jak? Jak świętowano? – dopytywał Bożek, zafascynowany nieznanym mu dotąd światem dawnych wierzeń. Licho też nadstawiło uszu i tylko Gucio nie przerywał dekorowania pierniczków, od czasu do czasu przeplatając je konsumpcją. W ramach testów jakości, ma się rozumieć.

– No, na przykład śpiewano pieśni. Wieszano pod sufitem jemiołę – wymieniał wujek Konrad. – W kącie stawiano jodłę albo snop zboża, to się nazywało dyduch, jeśli dobrze pamiętam, i dekorowano jabłkami i orzechami. Odprawiano też rytualne uczty, w których brały udział dusze przodków. Wróżono pogodę i zbiory, a dzieci, uwaga, dostawały prezenty! – Tu wujek urwał i mrugnął porozumiewawczo do chłopca. – W końcu jednak chrześcijaństwo najpierw... pożyczło sobie i zwyczaje, i datę, a potem zaczęło wszystkim wmawiać, że ono było tu pierwsze. I koniec końców ludzie w to uwierzyli. Witek najwyraźniej też.

Bożkowi z tej ulgi aż zatrzepotało serce. Zaraz jednak zamarło, bo o czymś sobie przypomniał. Czy to aby nie była jedna z tych historyjek, które wujek Konrad z taką łatwością snuł na poczekaniu? W końcu na tym polegała jego praca, więc...

– Ale ty sobie tego nie wymyślasz, prawda? – zapytał ostrożnie. – No wiesz. Żeby mi nie było przykro w ten poniedziałek?

– A czy ja ciebie kiedykolwiek okłamałem, Bożku? – odpowiedział mu wujek pytaniem na pytanie.

– No... no nie – przyznał chłopiec uczciwie.

– No właśnie. Jak chcesz, to ci pokażę kilka książek na ten temat. Widzisz, Bożku, tak naprawdę większość bożonarodzeniowych tradycji ma pogańskie korzenie. Osobiście uważam, że warto o tym wiedzieć, czy się chodzi na religię, czy nie. Ot, choćby w ramach dbania o kulturowe dziedzictwo. Ha, niektórzy nawet twierdzą – dodał, niby to niewinnie, ale zerkał przy tym na Licho, wypatrując jego reakcji – że anioła stróża chrześcijaństwo też sobie pożyczyło. Że pierwotnie to był rodzaj opiekuńczego demona domowego...

– ...lleluja...? – pisnęło wstrząśnięte Licho, całkiem niedemonicznie, a jego tęczowe oczy osiągnęły rozmiary spodków.

– Więc kiedy ktoś cię znowu o to zapyta, Bożku – zakończył wujek Konrad z uśmiechem i odłożył na stół swój pierniczek, ozdobiony może i nieco pokraccznie, za to z wielką fantazją – czy pani, czy Witka, czy inny kolega, to im odpowiedz, że nie świętujesz Bożego Narodzenia, tylko przesilenie zimowe, a kolędy śpiewasz, bo lubisz. Nawet jeśli co drugą zwrotkę mylisz słowa i koszmarnie, naprawdę koszmarnie fałszujesz.

Przez całą niedzielę Bożek ślęczał z wujkiem nad książkami i gdy w poniedziałek poszedł do szkoły, w plecaku niósł nie tylko śpiewnik z kolędami, który wygrzebały mu na strychu niemieckie widma. Miał też torbę świeżuteńkich kokosanek od Krakera oraz krótką pracę o przesileniu zimowym. Przy pierwszym proteście Witka, że jemu przecież nie wolno, proszę pani, jemu nie, Bożek wyciągnął kartkę i z przejęciem zaczął opowiadać o tym, czego się dowiedział. I koniec końców wcale nie dostał jedynki, tylko szóstkę, bo pani bardzo się podobało i innym dzieciom też. Dlatego nikt nie słuchał już Witka, tylko razem objadali się chrupkami, ciastkami i kokosankami, wygłupiali i śpiewali kolędy. A kiedy przyszła pora pożegnania, pani życzyła wszystkim, absolutnie WSZYSTKIM, wesołych, spokojnych świąt.

No ale jak mogło być spokojnie? No jak, skoro następnego ranka w salonie czekała gęsta, rozłożysta choinka, którą osobiście przytaszczył wujaszek Turu? Skoro trzy widma krążyły w tę i z powrotem, znosząc ze strychu pudła z bombkami, łańcuchami

i światełkami? Skoro na każdym piętrze czuć było zapach cytrynowego sernika z białą czekoladą, na kuchennym stole z minuty na minutę rosła góra pierogów z kapustą, które w skupieniu lepił wujek Konrad, mama kończyła mieszać sałatkę śledziową, a w garnku cichutko szumiał wywar na barszcz? Bożkowi nawet nie trzeba było mówić, żeby się szybko ubierał i schodził na śniadanie – sam prawie wyskoczył z piżamy! Był to ostatni, za to chyba największy z przedświąteczno-świątecznych cudów.

Tego dnia w starym, dziwacznym domu nikt nie siedział beczynnym. Bez względu na gatunek, rozmiar czy stan skupienia wszyscy mieszkańcy mieli ręce (lub macki) pełne roboty.

Dorośli wespół z Krakersem uwijali się w kuchni, skąd dochodziły coraz to nowe czarowne wonie. Grzane wino i herbata, barszcz i pierogi, sernik i pierniczki, ach! Ślinka sama napływała do ust na myśl o wspaniałościach, które późnym popołudniem miały trafić na stół!

Tymczasem Bożek zaraz po śniadaniu dostał miękką szmatkę i przykaz, by dokładnie wytarł bombki z kurzu, zanim trafią na choinkę. Ostrożnie wyciągał z pudełek ozdoby z kruchego szkła, które mimo upływu lat wciąż zachwycaly barwami i mnogością kształtów. Były tam grzybki, szyszki, bałwanki, bombki podłużne albo jego ulubione – okrągłe, ze śmieszoną dziurką, jak gdyby ktoś próbował wycisnąć z nich bombkowy sok niczym z pomarańczy. Licho z kolei siedziało po turecku na podłodze i trzecią godzinę pucowało sztukę. Nie żeby miało ich aż tak wiele, nie były też jakoś szczególnie brudne, ale co kichnęło, to musiało zaczynać od nowa. A pech chciał, że z tego całego przejęcia kichało częściej niż zwykle.

W drugim kącie salonu trzy niemieckie widma walczyły z choinkowymi światełkami splątanymi w wyjątkowo skomplikowany kłębek, próbując dojść, gdzie jest początek, a gdzie koniec, i nie kląć przy tym za często. Bożek i tak co rusz parskał śmiechem, kiedy jednemu lub drugiemu wyrывało się dźwięczne, soczyste niemieckie słowo, które zdecydowanie wyrывać się nie powinno. Dobrze, że mama ich nie słyszała, wtedy nie byłoby już tak zabawnie! Guciowi natomiast wręczono puszkę z pierniczkami (tymi podziurkowanymi i ozdobionymi), nożyczki oraz kłębek

srebrnego sznurka, żeby miał zajęcie i nie pflompał pod nogami. Niestety, po pięciu minutach mały potwór zapomniał, że te akurat pierniczki to miał wieszać, nie zjadać, i pożarł je do ostatniego okruszka, nożyczki zgubił, a sznurek poplątał. Bardzo najedzony i bardzo szczęśliwy zasnął na fotelu mackami do góry, podczas gdy pod fotelem cztery różowe króliki po cichu i metodycznie wcinały skradziony z pudła łańcuch.

Tak właśnie mijały im minuty, kwadranse i godziny, aż wreszcie wszystko było gotowe, a za oknem zapadł zmierzch.

Na długo przed tym, jak na niebie zaśniła pierwsza gwiazdka, domownicy zebrali się wspólnie przy świątecznym stole i złożyli sobie życzenia. Barszcz, zupełnie inny niż barszcze w zwyczajne dni roku, czerwienił się tymczasem na talerzach, na półmiskach parowały pierogi, złociste masło spływało z białej fasoli. W pustych brzuchach burczało coraz donośniej (zwłaszcza w brzuchu Gucia, który dodatkowo burczał sam z siebie) i palce same zaciskały się na sztuccach, żeby jak najszybciej to burczenie uciszyć. Uciszał więc, aż im się uszy trzęsły, i przez następne minuty w salonie rozlegały się mruknięcia, pochwały i prośby o dokładkę. I mlaskanie trochę też.

– Powstań! Wymarsz wojsk austriackich! – zarządziła w końcu mama, kiedy nad stołem unosiły się już tylko błogie westchnienia. I wcale nie chodziło jej o widma, o czym doskonale wiedzieli Bożek i Licho. Och, tylko czekali na te słowa! Zerwali się jak oparzeni i w okamgnieniu zaczęli sprzątać ze stołu, żeby czym prędzej zrobić miejsce na ciasta i ciasteczka.

– Och, alleluja, alleluja! – pisał mały anioł, tupając do kuchni ze stertą talerzy, a Bożek z wazą po zupie i sztuccami deptał mu po piętach.

I właśnie wtedy, kiedy biegali w tę i z powrotem, już pełni dobra, a mimo to gotowi na więcej, stało się TO. Magiczne, niewyjaśnione, wprost niewyobrażalne TO.

Ledwo wyhamowali we dwójkę na progu i oniemiałi wlepili oczy w kąt obok kominka. Bo tam, pod choinką strojną w bombki,

łańcuchy i cudem rozplątane światełka, nagle ujrzeli sterty paczuszek i paczek, których przecież jeszcze przed chwilą wcale tam nie było! A kawałek dalej, dosłownie na wyciągnięcie ręki, jak gdyby nigdy nic siedzieli dorośli i rozmawiali, i śmiali się, i W OGÓLE NIC NIE ZAUWAŻYLI, NIC A NIC, co było chyba jeszcze bardziej niewyobrażalne niż TO, które właśnie się stało.

Przez następne pół godziny po domu niosły się wrzaski Bożka i piski Licha, przeplatane wielce zdumionymi „Och, jej!” i „Proszę, proszę!” na zmianę z „No coś podobnego!”, a nawet *Donnerwetter!*, po którym następowały Bardzo Wymowne Kasznięcia mamy i zgodny jak rzadko chichot obu wujków. Prezenty, te bardzo wyczekiwane i te jeszcze bardziej zaskakujące, wędrowały do właściwych rąk i macek. A gdy pod choinką znów zrobiło się pusto, na stół wjechały słodkości razem z gorącymi napojami i zrobiło się błogo. Widma ze strychu to intonowały bożonarodzeniowe pieśni, oczywiście po niemiecku, to snuły rzewne wspominki sprzed stu lat. Bożek i Licho na przemian piszczeli ze szczęścia i podziwiali nawzajem swoje zdobycze, Gucio tarzał się pod choinką i trącał mackami bombki. Wyżej, na parapecie, dzinn kłębił się w nowej kryształowej karafce, urzeczony tym, jak przepięknie rozszczepiała światło. Podziomek umościł się w przytulnym flanelowym futerale na okulary i wcinał piernikowe okruszki, a dorośli tak po prostu przyglądali się wszystkim w milczeniu, sącząc grzane wino.

Naraz Bożek o czymś sobie przypomniał. Rozejrzał się szybko po salonie. Tsadkiel, który przez całe przedpołudnie prasował obrusy i serwetki w zaciszu swego pokoju, najmniejsze nawet zmarszczki czy zagięcia traktując jak osobistą zniewagę, teraz siedział w kącie, nieruchomy i majestatyczny niczym posąg z kamienia. Tak w zasadzie to nie ruszał się stamtąd przez cały wieczór, obojętny na to, co działo się wokół niego. Bo też, w jego mniemaniu, nie działo się nic, co byłoby warte zainteresowania.

Przynajmniej dopóki tuż przed nim nie stanął Bożek i się nie uśmiechnął.

– Proszę. To dla ciebie.

Anioł z niewzruszoną miną przyjrzał się temu, co trzymał chłopiec. Jakiś kanciasty przedmiot, dość sporych rozmiarów,

zapakowany w kolorowy papier. Z wierzchu pyszniła się gwiazdka z błyszczącej wstążki, jak gdyby miała powód. Aż się skrzywił, dostrzegając zagniecenia i przetarcia na papierze, a nawet – o zgrozo! – plamę po kleju. Biurowym, oczywiście. Amatorszczyzna...

Zamiast wyciągnąć ręce i przyjąć prezent, Tsadkiel spojrział w chabrowe oczy Bożka i odezwał się obojętnym głosem, takim samym, jakim odpowiada się obcemu przechodniowi, który na ulicy pyta o drogę albo godzinę.

– Co to takiego?

– No... taki... takie... taka komódka – odparł Bożek. – Sam ją zrobiłem. Dla ciebie. No bo wiesz – zaczął tłumaczyć, kiedy Tsadkiel wciąż się nie poruszył. – Gwiazdka przynosi prezenty tylko małym dzieciom... i małym aniołom... no i małym potworom też. A ci więksi muszą sami sobie coś zorganizować, żeby im nie było przykro, prawda? Więc wpadłem na pomysł, że coś dla ciebie zrobię. Proszę – powtórzył. – Wesołych świąt.

Wyciągnął ręce, nieomal podtykając aniołowi pudełko pod nos.

– Nie prosiłem o to – rzekł Tsadkiel.

– No... no wiem. Ale to prezent. Ciągłe robisz jakieś listy i tabelki, i hormo... no, harmonogramy i masz tyle pisaków i flamastrów, i zakreślaczy, i śmiesznych samoprzylepnych karteczek, więc pomyślałem sobie, że zrobię ci taką komódkę, żebyś mógł w niej to wszystko trzymać. Przyda ci się. Jest z drewna i ma szufladki i... i w ogóle – dokończył.

Doskonale gładkie czoło anioła przecięła pionowa zmarszczka.

– Nie chciałem tego – powiedział rzeczowo.

– Tsadkielu, Bożek chce ci dać prezent – dobiegł z przeciwległego końca salonu głos wujka. – Prezent, do jasnej cho... No. PREZENT!!!

– Ach. Istotnie. – Anioł odchrząknął i zamrugawszy, jakby dusił w sobie poirytowanie własną niedomyślnością, jeszcze raz spojrział na chłopca. – Nie, dziękuję.

Bożek się nie rozplakał. Wcale nie dlatego, żeby wierzył w bzdury, że niby płaczą tylko dziewczyny, a chłopaki nie. W końcu sam był chłopcem (znaczy, między innymi chłopcem) i zdarzało mu się płakać, z bardzo różnych powodów. Tak samo jak wujkowi

Konradowi i wujaszkwowi Turowi, i tacie, i Krakersowi też. (Na przykład gdy raz przypalił tartę z malinami i jego ulubiona foremka nadawała się wyłącznie do wyrzucenia. Albo gdy Bożek niechcący przytrzasnął mu mackę). A skoro nawet coś tak wielkiego, silnego i potwornego jak Krakers mogło płakać i się tego nie wstydzić, to tym bardziej mógł sporo mniejszy, dość silny i w ogóle niepotworny prawie dziesięcioletni chłopiec.

Ale nie tym razem. Bo tym razem prędzej by pękł, niż dał po sobie cokolwiek poznać na oczach tego... tego... Pupkiela, o! Zacisnął usta, które zdradziły mu zdradziecko, odwrócił się na pięcie i z prezentem w objęciach wybiegł z salonu, a Licho popędziło za nim.

Przez następny tydzień króliki wszędzie zostawiały łańcuchowe bobki, kolorowe i błyszczące, co było dość śmieszne, a Tsadkiel wciąż nic nie rozumiał, co było dość denerwujące. Wujek Konrad chciał go zadusić od razu, na miejscu, lecz wujaszek Turu zdołał mu wytłumaczyć, że trup pod choinką, nawet anielski, zepsułby i wystrój, i atmosferę. Rosły anioł uszedł więc z salonu z życiem, za to bez serniczka – Krakers wymierzył mu karę okrutną i nieodwołalną – i do końca świąt nie wychylał nosa ze swojego pokoju.

– On... po prostu tak ma – skwitował wujek przy pierwszym poświątecznym śniadaniu, kiedy kolejne próby wyjaśnienia, dlaczego Tsadkiel był takim... cóż, Tsadkiem, spełzły na niczym.

Bożek wzruszył ramionami i nadal wcinał grzanekę z masłem i dżemem, za to mama zmarszczyła brwi.

– Tak, czyli jak? – zapytała, wpatrując się uważnie w Konrada. – No? Jak ma? Co ma? Dziurę zamiast serca?

Wujek wyraźnie się stropił. Chyba nie spodziewał się, że mama na dzień dobry trafi w samo sedno.

– Cóż... tak – przyznał po krótkim wahaniu. – Prawdopodobnie tak. Dziurę. Pustkę. Otchłań bez dna... – Westchnął ciężko, aż mu kawa w kubku zafalowała. – Rozumuje logicznie, tyle że empatię ma na poziomie galaretki.

– O, ja bardzo przepraszam – wtrącił wujaszek Turu między jednym siorbnięciem herbaty a drugim. – Galaretka nie rani. Galaretka nie ocenia. Galaretka to samo dobro... z tycim dodatkiem konserwantów.

– Cóż, widać Tsadkiel ma naprawdę kiepski skład... – burknął Konrad.

– Nie obchodzi mnie jego skład – odparowała mama, ucinając wszelkie wątpliwości. – Tsadkiel sprawił Bożkowi wielką przykrość i ma przeprosić.

– Mówiłem mu to już chyba z tysiąc razy, ale on nadal nie rozumie...

– Ma przeprosić – powtórzyła mama. – Koniec dyskusji.

OCH. Bożek z Lichem aż spojrzeli po sobie. Kiedy mama ogłaszała koniec dyskusji, każda próba dalszego protestu oznaczała Niechybłą i Natychmiastową Karę o Straszliwych Implikacjach, czyli, krótko mówiąc, poważne kłopoty.

– Ale co ja mogę...? – jęknął mimo to wujek Konrad.

– Och, wymyśl coś. W końcu to twój anioł.

– O, nienienie! Nie! TO jest mój anioł, moja droga! – Wskazał palcem Licho. Licho, tak na wszelki wypadek, znieruchomiało z zębami wbitymi w tost, czekając na rozwój sytuacji. – Znaczy, to BYŁ mój anioł, zanim urodził się Bożek, ale ja wciąż czuję się emocjonalnie związany. A tamten tam to... to... on już taki był, kiedy go dostałem! A ja tylko spełniłem dobry uczynek!!! – wrzasnął za wychodzącą mamą.

– No i w końcu cię pokarało, bratku – podsumował Turu, a chłopiec i anioł przytaknęli mu milcząco.

– Pokarało mnie już dawno... – Konrad westchnął i zgarbił się nad kubkiem na kształt przerośniętego znaku zapytania. Wyglądał teraz jak wcielone zwątpienie w sens wszechświata. – Czym się zasypuje emocjonalną otchłań bez dna?

– Ja tam spróbowałbym gruzem...

– Bez. Dna – powtórzył Konrad, unosząc brew.

– Mnóstwem, mnóstwem gruzu.

I tak trzy razy dziennie, ilekroć siadali razem przy kuchennym stole: mama się denerwowała, wujek Konrad się tłumaczył, wujaszek

Turu miał z niego ubaw po pachy, a Bożek z Lichem i Guciem tylko im się przysłuchiwali, żując zawzięcie pyszności, które podsuwał im Krakery. Zdaniem wielkiego potwora nic tak nie pomagało na emocjonalne cierpienia jak solidna dawka kalorii. Zwłaszcza posypana cukrem wanilinowym.

Lecz wbrew temu, co zdawali się uważać dorośli, Bożek miał teraz na głowie ciekawsze rzeczy niż rozpamiętywanie, jak Tsadkiel popsuł mu święta. Dużo, dużo ciekawsze. Otóż mama – chyba po to, żeby mu wynagrodzić tę przykrość, która go spotkała – zgodziła się, żeby urządzili sobie z Tomkiem najprawdziwszą sylwestrową imprezę! Bo od szkolnych mikołajek chłopcy zostali przyjaciółmi i regularnie widywali się po lekcjach. Najpierw Bożek odwiedził Tomka i poznał jego siostrzyczkę, która była taka śmieszna i nawet im za bardzo nie przeszkadzała. Wybrali się też dwa razy do kina i raz na lody do pobliskiej cukierni, na dodatek całkiem sami, bez dorosłych! Aż wreszcie Tomek przyszedł z wizytą do Bożka.

NAPRAWDĘ.

– W sumie... czemu nie? – uznał wujek Konrad, kiedy Bożek zapytał nieśmiało, czy mógłby zaprosić przyjaciela na popołudnie. – W końcu to duży dom, a większość dożywotników to niewielkie stworzenia, łatwo się schowają. Na wszelki wypadek zamknie się parę drzwi na klucz.

I tak też zrobili. A Krakery, zanim skrył się w ciemnej piwnicy, zostawił w kuchni blachę ciepłego jeszcze ciasta z jabłkami i malinami.

Stary dom, pełen kryjówek i zakamarków, był wprost stworzony do zabawy dla dwóch energicznych prawie dziesięciolatków i jednego małego anioła. Bawili się w tajnych agentów, w chowanego, w rozbitków i trochę w wojnę – ale w sumie żadne z nich za wojnę nie przepadało, więc szybko zrezygnowali i wrócili do rozbitkowania na strychu. Najpierw płynęli przez wzburzone morze, aż naraz ich statek (czyli drewniana kołyska) wpadł w bezlitosne macki potwora (czyli Gucia, który też czuł się dzieckiem i ani myślał się chować) i rozbił się u brzegów bezludnej wyspy. Skrzynie doskonale udawały niezbadane wąwozy, szafy przeistaczały się w niedostępne szczyty gór, a różowe króliki

ochoczo robiły za dzikie bestie. Czaiły się i czyhały, i grasowały, i nawet tuptały wyjątkowo krwiożerczo!

A co najlepsze, Tomek w ogóle się niczemu nie dziwił. Ani temu, że Lichu nie odczepiały się skrzydełka, ani temu, że Gucio był najprawdziwszym Guciem, a łazienkę na parterze przez całą zimę zajmował utopiec, który moczył nogi w sedesie, dlatego jak się komuś bardzo chciało siku, to musiał chodzić aż na piętro. Jego wątpliwości wzbudziło coś zupełnie, zupełnie innego.

– Dlaczego te króliki są różowe? – zapytał nagle w samym środku zabawy. Właśnie toczyli walki z tubylczym plemieniem pod wodzą samego Große Hosen, co – jak wytłumaczył mu Bożek – po niemiecku oznaczało Wielkie Gacie i świetnie oddawało rzeczywistość. Tubylcy (sztuk trzy) byli bardzo mili, chociaż trochę bladzi, i ruszali do ataku z okrzykiem „schterdeschtschy schterry!!!”, zyskując efekt zaskoczenia poprzez rozbawienie.

Bożek nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią.

– Bo lubią – odrzekł beztrąsko. W końcu była to najprawdziwsza prawda.

Tomek myślał i myślał, i myślał... aż wreszcie wzruszył ramionami i jak gdyby nigdy nic wrócili do zabawy. Lecz gdy wieczorem przyjechał po niego wujek i wszyscy odprowadzili go do drzwi, nieoczekiwanie wypalił:

– Wujku, a wiesz, że Bożek ma potwora pod łóżkiem?

W korytarzu zapadła cisza. Konrad zrobił się prawie przezroczysty, Turu szybko przełykał Bardzo Brzydkie Wyrazy, żeby mu się żaden nie wymknął przy dzieciach, a mama wyglądała, jakby chciała kogoś zadusić.

Wujek Tomka niczego nie zauważył.



- Ach, naprawdę? Potwora? – odparł grzecznie, próbując dojść, co się stało z rękawem Tomkowej kurtki.
- No! Ale to bardzo miły potwór, nie trzeba się go wcale bać.
- To... świetnie?

– No. A na strychu mieszkają duchy! I jedliśmy ciasto, i płynęliśmy statkiem!

Wujek Tomka pokiwał głową, jak gdyby wszystko doskonale rozumiał, po czym uśmiechnął się do szpaleru dorosłych.

– Chyba się fajnie bawili, co? – zapytał tym tonem, z jakim dorośli zwykle mówią o Sprawach, Których Dzieci Nie Zrozumieją, a oni natychmiast ruszyli z zapewnieniami, że tak, jasne, oczywiście, zabawa była na sto dwa! Ach, te dzieci i ich wyobraźnia...

Dlatego niechciany prezent trafił pod biurko, a wszelka złość na Tsadkiela została puszczona w niepamięć, przynajmniej chwilowo. Teraz Bożek musiał się skupić na przygotowaniu imprezy – wybrać najlepsze gry planszowe, znaleźć na strychu dmuchany materac, namówić wujka Konrada, żeby kupił im zimne ognie i popcorn, uprosić Krakera, żeby usmażył pączki, a potem jeszcze przekonać mamę, że to wcale nie będzie aż taka przesada.

Snuł więc plany i pomału wprowadzał je w życie, a nawet z rozpędu zaczął sprzątać, i w ogóle nie przypuszczał, jak wiele w jego życiu zmieni ta jedna, jedyna noc.

Ale zanim nastąpiła Prawdziwa Katastrofa, zanim wszystko stanęło na głowie, najpierw skończył się stary rok i zaczął nowy.

Impreza sylwestrowa udała się tak bardzo, że mama Bożka – i to bez proszenia! – zadzwoniła do mamy i wujka Tomka i zaproponowała, żeby pozwolili chłopcu zostać u nich dzień dłużej, a najlepiej dwa. W końcu i tak do szkoły szli dopiero w poniedziałek, więc czemu nie? Może i wszędzie było ich pełno i chyba co kwadrans domagali się jedzenia, ale w sumie nikomu nie przeszkadzali... no, w każdym razie nie za bardzo. Tomek bohatercko zadeklarował, że może chodzić drugi dzień w tych samych skarpetkach, a nawet i trzeci, jeśli zajdzie taka przykra konieczność. Na szczęście po południu jego wujek wziął psa na dłuższy spacer i przyniósł pasierbowi świeżą bieliznę, ratując go przed poświęceniem na tak niewyobrażalną skalę.

I dopiero dwa tygodnie później okazało się, że razem z czystymi skarpetkami przyniósł im coś jeszcze.

– Licho, przecież... przecież ty masz ospę! – zakrzyknęła ze zdumieniem mama, stając na progu łazienki z piżamą dla Bożka w ręce.

Mały anioł od rana czuł się jakoś tak niewyraźnie, myślał jednak, że to przez niedobór kakao, które skończyło się bez ostrzeżenia i wystarczyło zaledwie na pół kubeczka, mimo że w planach miał co najmniej dwa. Co prawda Turu w te pędy pognął do sklepu i przyniósł trzy paczki, żeby starczyło chociaż do końca tygodnia, więc niedobór został wyrównany jeszcze przed południem, i to ze szczodłą nawiązką. Tyle że to wcale nie pomogło... Dopiero gdy Licho zaczęło się rozbierać do wieczornej kąpieli, przyczyna złego samopoczucia stała się oczywista. Całe było usiane dziwnymi bąblami w czerwonych obwódkach, jak gdyby ktoś zaznaczył flamastrem, że jeszcze tu i tu. I tu też.

– ...leluja...? – wymamrotało bez entuzjazmu, patrząc na własny brzusek. Bożek, który z braku zapomnianej piżamy chwilowo musiał spowić się ręcznikiem, lustrował tymczasem anielskie plecy.

– O rany, Licho, wyglądasz jak połącz kropki w trzy de!

– A co, tam też...? – Obejrzało się niezdarnie, wypatrując własnych pośladków.

Mama rzuciła piżamę na krzesło i szybko ukłękła przy aniele, który słaniał się na nogach, jak gdyby łazienką kołysał sztorm.

– Ospa wietrzna jak nic... Na dodatek jesteś całe rozpalone! – orzekła, omacując mu czoło i ręce. – Szybciutko, ubieraj się i do łóżka. I nie, nie do Bożka, mowy nie ma! – uściśliła, widząc błysk w oczach syna. – Do siebie!

– Ale-ale-ale-alleluja...?

– Do siebie, raz-raz!

Nie miało siły więcej protestować – w ogóle na nic nie miało siły. Nawet się nie zorientowało, że usnęło w pół kroku, a do łóżka doniosły je delikatne, a jednocześnie silne łapska wujaszka Tura.

Tymczasem mama, tknięta przecuciem, zaraz zadzwoniła do rodziców Tomka.

– Wygląda na to, że ospę przyniosła Karolcia – przekazała obydwu wujkom, skończywszy rozmowę. – W przedszkolu mają istny pogrom. Obsypało ją już w Nowy Rok, ale Tomka rozłożyło

dopiero dzisiaj. Czyli zaraza krąży... Dobrze, że Bożek był szczepiony... – Naraz urwała i obrzuciła obu mężczyzn zaniepokojonym spojrzeniem. – Błagam, powiedzcie, że w dzieciństwie chorowaliście na ospę.

Konrad i Turu spojrzeli po sobie.

– Spokojna głowa, ja chorowałem – odparł wujaszek Turu. – Nawet zostały mi na pamiątkę trzy blizny na prawym pośladku. Pokazać?

– Wierzę ci na słowo. A ty? – zwróciła się do Konrada.

– Obawiam się, że miałem tę wątpliwą przyjemność.

Tego wieczoru Bożek zasypiał, myśląc o Lichu, takim biednym, takim choreńkim. Po głowie krążyły mu niezliczone pytania. Czy te bąbelki bolały? A może swędziały? Czy można je drapać? A jeśli PĘKNA...? W szczególności zaś dręczyło go pytanie – czy Licho też będzie miało potem blizny na pupie, jak wujaszek? I z tą właśnie myślą chłopiec zapadł w głęboki sen.

Rano, ledwo otworzył oczy, zapach naleśników zaprowadził go prościuteńko do kuchni. Lecz zamiast wielkich, czarnych macek przy patelni zobaczył wujaszka Tura, który uśmiechnął się do niego na dzień dobry, po czym oświadczył:

– Pogrom trwa! Konradzinek padł na placu boju.

– Ej, no weź! Przecież wujek miał już ospę!

– A teraz poszedł na całość i zafundował sobie półpaśca!

Bożek znieruchomiał z jednym pośladkiem na krześle. W jego chabrowych oczach malowała się czysta zgroza.

– Ale... ale dlaczego pół?

– Bo na całego paśca jest stanowczo za chudy. Ha, czekaj no, bratku! – Znaczącym gestem uniósł łopatkę, którą przewracał naleśniki. – To jeszcze nie koniec atrakcji! Krakery, robaczku!

Z głębin piwnicy najpierw dobiegł markotny pomruk i dopiero chwilę później wysunęła się macka, dziwnie o ciężała i ślamazarna. Na ni to czarnej, ni to fioletowej skórze potwora tu i tam wykwitły pierwsze pęcherze. Były OLBRZYMIE, przypominały balony wypełnione wodą.

– O rany, ale obrzydliwe... – jęknął Bożek. – A mogę dotknąć?

– NIE!!! – Aż podskoczył, słysząc okrzyk mamy. – Nie! Absolutnie żadnego dotykania! A najlepiej to nawet się im nie przyglądaj!

Macka z cichym plaśnięciem zsunęła się z powrotem do piwnicy. Dorośli dołączyli do Bożka przy stole, ale mama nawet nie ruszyła naleśników. Chyba na coś czekała, bo co rusz obracała się na krześle i zerkała w stronę korytarza.

Wreszcie na schodach rozległo się człapanie. Niedługo potem w progu kuchni stanął wujek Konrad i Bożek od razu przestał żałować, że wujek dostał pół tego tam paśca zamiast całego. Zresztą pół to też było dla niego aż nadto, bo wyglądał, jak gdyby miał z tysiąc lat. A nawet... nawet czterdzieści siedem!

– I co? – zapytała mama. – Dodzwoniłeś się?

Wujek skinął głową i zbladł jeszcze bardziej, jakby ta głowa ważyła dziesięć razy tyle co zwykle i miała mu zaraz pęknąć.

– Załatwione.

– Dobrze. Dobrze, w takim razie zaraz się ogarnę. A co z...? – Mama machnęła dłonią mniej więcej w kierunku piwnicy, z której dobiegało stłumione mruczenie.

– Mówi, że mamy ich traktować po ludzku – odparł wujek Konrad. Doczłapał do blatu, pstryknął czajnikiem i wyjął z szafki duży kubek. Po namyśle odstawił go z powrotem, wyciągnął inny, jeszcze większy, wrzucił do niego torebkę herbaty i zasypał trzema łyżeczkami cukru. Czubatymi! Oj, było z nim naprawdę źle...

– Czyli? – drążyła tymczasem mama.

– Czyli smarować fioletem, aż przyschną. I nie podawać ibuprofenu, ibuprofen przy ospie to zło.

– Fioletem, powiadasz? – Wujaszek poskrobał się po głowie. – Dobra, zaraz zejść do piwnicy.

– Po siekierę, żeby mnie dobić?...

– Chciałbyś, bratku – zachichotał w odpowiedzi wujaszek. – Po wiadro i pędzel. Albo wałek. Jeszcze nie oszalałem, żeby pędzlować hektary naszego Krakersiątka szpatułką do uszu.

– Ja bym jeszcze wziął sztormiak – dorzucił wujek Konrad. – Fiolet barwi.



– Słusznie, słusznie. Wiesz co... to może ja skoczę do budowlanego po folię malarską, zanim wy... – Nie dokończył, lecz mama chyba dobrze wiedziała, o co mu chodziło, bo przytaknęła i wujaszek popędził po kurtkę. Zaraz potem trzasnęły frontowe drzwi.

– Ale kto tak mówi? – zainteresował się Bożek. Coś tu się działo, i to działo się intensywnie, a on nic z tego nie rozumiał, chociaż siedział i słuchał, i w ogóle. – Kto tak mówi? I czemu te bąble trzeba malować akurat na fioletowo?

– Nie na fioletowo, tylko fioletem – poprawił wujek. – Czyli gencjaną, takim specjalnym roztworem, z apteki. Gencjana wysusza ospowe bąble. Tak zaleciła ciocia, a ciocia jest lekarzem i wie, co zaleca.

– Jaka ciocia?

Wujek łypnął na mamę i mimo choroby uśmiechnął się po swojemu, kaśliwie. A mama nabrała głęboko powietrza i wypaliła:

– Bardzo, bardzo miła ciocia... do której dziś jedziesz.

Rzecz jasna, Bożek zaprotestował. Stanowczo, głośno i z przytupem.

– Nie! NIE! Nigdzie nie jadę! A już na pewno nie z tym... tym... głupkiem!

– Bożydarze. Antoni. Jekiełku!

Niedobrze. Bardzo, bardzo niedobrze. Mama zwróciła się do niego pełnym imieniem i nazwiskiem, a na dodatek robiła Przerwy Pełne Potępienia. W tej sytuacji najbardziej wskazany był szybki odwrót.

– No dobra, dobra... – wyburczał pod nosem i łypnął na nią spode łba. W skupieniu wyciągała jego ubrania z szafy, składała na łóżku w kosteczkę, a potem upychała w torbie. Nieopodal, na podłodze, czekał już transporter dla Gucia, jak również zimowy kombinezon, który na święta wyszykowało mu Licho. Sprawa wyjazdu do tajemniczej cioci była zatem przesądzona.

Mimo to Bożek podjął ostatnią rozpaczliwą próbę ratunku. Przecież wujaszek Turu obiecał, że przez ferie zrobią razem nowe biurko, dużo większe od starego, z podnoszonym blatem i mnóstwem skrytek na Osobiste Tajemnice Młodego Faceta. A mama miała zabrać go z Tomkiem na kręgle. I do kina, a potem na rurki z kremem i może jeszcze do sklepu z planszówkami. Miało być tak fajnie... Lecz zamiast tego pakowała go na wyjazd do jakiejś dziwnej ciotki, o której nigdy nie słyszał, a razem z nim pakowała Gucia, co było fajne, oraz Tsadkiela, co było STRASZNE. I nikt

w ogóle nie chciał słuchać, co Bożek miał na ten temat do powiedzenia, chociaż uważał – mimo że i Tomek, i Licho leżeli teraz chorzy, a pogoda za oknem bardziej przypominała jesień niż zimę – no więc Bożek osobiście uważał, że lepszy nawet miesiąc z ospą na pupie niż pięć minut z Tsadkielem. A co dopiero dwa tygodnie.

Dwa tygodnie, o raaanyyy...

– No ale on wszystko psuje...! – jęknął, zapominając o Przerwach Pełnych Potępienia.

– Wszystko, to znaczy co?

– No... no... no WSZYSTKO! I wszystkiego się czepia. I wszystkich poprawia. I ciągle zadziera nosa. Nie chcę z nim jechać, no maaamooo...

– To w ogóle nie podlega dyskusji, Bożku – ucięła mama, nie przestając układać ubrań. – Tsadkiel i Gucio nie mogą tu zostać. Skoro Licho i Krakery zarazili się ospą, to oni też mogą i dopiero będzie nieszczęście.

– A ja? Mówiłaś przecież, że byłem szczepiony! To może niech oni pojadą, a ja zostanę?

– Zgadza się, byłeś – przytaknęła mama, lecz następnymi słowami zgasła w Bożku isierkę radości, która już próbowała buchnąć nieśmiałym płomieniem. – Ale to wciąż nie zmienia faktu, że Turu i ja będziemy mieć tu pełne ręce roboty z Lichem, Krakensem, Konradem i kto wie, kim jeszcze. Naprawdę nie potrzeba nam dziesięciolatka, żeby z nudów plątał się pod nogami i dostarczał dodatkowych atrakcji. Dlatego razem z Guciem i Tsadkielem jedziesz do cioci na ferie. Koniec dyskusji. – Westchnęła z irytacją, widząc jego naburmuszoną minę. – Och, przestań już. Wytrzymujesz z nim na co dzień, wytrzymasz i teraz. To tylko dwa tygodnie.

– I co ja tam będę robił? Gdzieś... gdzieś... TAM?

– Nie wiem! – zakrzyknęła mama, wyrzucając ręce w powietrze. – Może to, co wszystkie normalne dzieci robią zimą w lesie? No wiesz, lepił bałwana, tarzał się w śniegu, chodził na sanki...? Kojarzysz?

Bożek splótł ręce na piersi i łypnął na mamę spode łba.

– Przecież ja nie jestem normalnym dzieckiem. Kojarzysz?

– Więc tarzaj się w bałwanach, lep sanki i chodź na śnieg. Brzmi lepiej?

Stękając pod nosem, zapięła wypchaną torbę i położyła na niej pusty plecak.

– Spakuj sobie do niego jakieś książki, gry... co tam chcesz. Za godzinę jedziemy. I nie wywracaj mi tu oczami, bo ci tak zostanie! – ostrzegła na odchodnym.

– Wcale że nie! – wrzasnął Bożek w ślad za nią. I chociaż najchętniej zabarykadowałby się w pokoju i ogłosił strajk głodowy co najmniej na dwie godziny, z rezygnacją zaczął upychać książki w plecaku. Ale przedtem, tak dla pewności, szybko zerknął do lustra.

Na tylnym siedzeniu niewielkiego samochodu Tsadkiel garbił się z transporterem pod pachą i oddawał kamiennemu milczeniu. Jak gdyby dla dźwiękowej równowagi Gucio chrapał tak, że momentami zagłuszał radio. Na dłuższych trasach zawsze robiło mu się niedobrze, dlatego mama dała mu syropek przeciwko chorobie lokomocyjnej, po którym usnął brzuszkiem do góry, zanim w ogóle wyjechali poza granice miasta.

Mama nic nie mówiła, skupiona na drodze.

Bożek też nic nie mówił, skupiony na fochu. Siedział z przodu, obok mamy, i z braku lepszego zajęcia gapił się na to, co przemykało po drugiej stronie szyby.

Najpierw jechali przez znajome miasto, przepastne i skomplikowane, aż po brzegi pełne barw, świateł i dźwięków. Lecz wkrótce zostawili je daleko za sobą i zanurzyli się w świat, jakiego Bożek nie znał. Był to świat miasteczek i miścin, które to tu, to tam wyrastały pośród pagórków i pól, coraz mniejsze, coraz cichsze, dopóki nie ustąpiły jeszcze mniejszym wsiom, nanizanym jak koraliki na długą, ciemnoszarą nić szosy.

I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Oto za oknem, gdzieś w oddali, zaczął majaczyć gęsty, ciemny las, a w tym lesie najprawdziwszy, najzimniejszy, najwspanialszy śnieg!

Z początku było go niewiele – ot, przetykana trawą biała smuga w przydrożnym rowie czy też plama ukryta w głębokim cieniu. Lecz im bardziej zanurzali się w las, im gęściej wokół nich cisnęły się

drzewa, tym też bielej robiło się dookoła i tym bardziej ożywiało się Bożek. Z kilometra na kilometr smugi pęczniały w sterty, sterty rozlewały się w połacie, a te pięły się zaspami i rozpościerały hen, jak okiem sięgnąć. W blasku zachodzącego już słońca korony drzew iskrzyły się od grubej na kilka palców warstwy szadzi. Przypominały nastroszone pędzle, które ktoś zapomniał opłukać z farby.

Tak właśnie wyglądała prawdziwa zima.

– Mamo, patrz! Patrz! – wykrzykiwał raz po raz Bożek. Tegoroczna zima w mieście bardziej przypominała niekończący się listopad, posepny i deszczowy, który mógł kusić do zabawy na podwórku co najwyżej obietnicą kataru stulecia. Nawet przez święta pogoda nie okazała litości i zamiast sypnąć śniegiem chociaż troszeczkę, tak dla klimatu, przez cały tydzień serwowała ulewy z porywistym wiatrem. Dlatego mama wcale nie dziwiła się ekscytacji chłopca. Z pobłażliwym uśmiechem odpowiadała na jego kolejne pytania.

– Mamo, a spakowałaś mi śniegowce?

– Tak, Bożku.

– A kombinezon?

– Tak, Bożku.

– A rękawiczki? No wiesz, te takie specjalnie na śnieg?

– Tak, Bożku.

– A tę śmieszoną czapkę z klapkami, żeby mi nie marzły policzki?

– Tak, Bożku – odparła. – I ciepłe kalessony też.

– NO MAAAMOOOOOOOOO!!!

Och, ale co tam kalessony, ta grzejąca pupę hańba i kompromitacja, skoro w tym oto momencie zaczął prószyć śnieg! Z tego wrażenia Bożek już całkiem zapomniał o fochu.

No, PRAWIE całkiem. Szelest anielskich piór, który dobiegł naraz z tylnego siedzenia, sprawił, że chłopiec znów się trochę najeżył, nie dość jednak, żeby na dobre stracić humor. Z nosem prawie przyklejonym do bocznej szyby chłonał tę cudowną, mroźną obietnicę wspaniałej zabawy w... w... No właśnie, gdzie?

– Mamo, a tak w ogóle to dokąd my jedziemy?

– Do domu – odparła mama, nie odrywając wzroku od szosy. Promienie zachodzącego słońca padały teraz pod wyjątkowo

podstępny kąt i sprawiały, że trochę łzawiły jej oczy. Sam śnieg też nie ułatwiał sprawy, ani ten świeży, ani ten już przymarznięty do asfaltu. Gdy weszła w kolejny zakręt, tyłem samochodu lekko zakołysało. Mignęła kontrolka ABS, a za plecami mamy rozległo się Bardzo Wymowne Chrząknięcie.

– No... no ale jak do domu, skoro nasz dom jest w przeciwną stronę?

– Nasz tak – rzuciła krótko mama, redukując bieg przed następnym zakrętem. Samochód zwolnił i tym razem gładko pokonał łuk drogi. – Pamiętasz opowieści wujka? – zapytała, gdy wyjechali na dłuższą prostą. – Jeszcze tak z dziesięć lat temu wujek Konrad i Licho, i Krakery, i utopiec, i króliki... krótko mówiąc, wszyscy poza wujaszkiem Turem nie mieszkali tam, gdzie mieszkamy teraz, prawda?

– Nooo...

– Mieszkali w takim starym, dziwnym domu... znaczy, jeszcze starszym i jeszcze dziwniejszym niż ten obecny. Daleko od miasta, w samym środku lasu.

– Lichotka! – zakrzyknął Bożek, przypomniawszy sobie w końcu tę śmieszna nazwę. – Tamten dom nazywał się Lichotka, od Licha!

– Zgadza się, tak się nazywał ich dom. Lichotka, od Licha. Wujek Konrad odziedziczył ją razem z mieszkańcami. Tam poznałam twojego tatę... I właśnie tam dziś jedziemy.



– Ale przecież tamten dom się spalił, prawda? – zauważył Bożek.
– I dlatego wujek zabrał wszystkich i przeprowadził się do miasta,
do wujaszka. A potem wprowadziliśmy się my.
Mama skinęła głową.

– Uhm, spalił się do gołych fundamentów, masz rację. A parę lat potem na tych fundamentach ktoś postawił kolejny dom. – Przerwała na chwilę i zerknęła kątem oka na syna, bo coś jej się nagle przypomniało. – Ty tam już byłeś, wiesz?

– Serio?

– Serio. Kilka miesięcy po tym, jak ktoś kupił od niego tę ziemię, Konrad tam pojechał, żeby się rozejrzeć. I zabrał cię ze sobą. Możesz tego nie pamiętać, miałeś wtedy ze trzy, może cztery latka.

– Och! A ten ktoś to właśnie ta ciocia, do której jedziemy?

– Tak jest. Ciocia, do której jedziemy.

– A ty ją znasz, mamó?

– Nie – przyznała mama i westchnęła, trochę ciężiej, niż zamierzała, bo wcale nie była do końca przekonana, czy ferie na odludziu to rzeczywiście taki dobry pomysł, jak twierdził Konrad, czy raczej gotowy przepis na katastrofę. – Wiem za to, że wujek i Puk jeżdżą do niej na wakacje i... – W tym momencie urwała, bo oto dotarli do ostatniego zakrętu, za którym zwolniła do prędkości prawie że ślimaczej, wypatrując między drzewami po lewej słabo widocznego prześwitu. Ale nie był to jedyny powód. Jednocześnie przyszło jej bowiem coś do głowy.

– Wiesz co, Bożku? Tak sobie myślę... Jeżeli twój marudny, złośliwy, wybredny, wiecznie czepiający się wszystkiego, napędzany kawą i sarkazmem wujek... no i co się chichrasz? Źle mówię? – Włączyła kierunkowskaz i mrugnęła porozumiewawczo do Bożka, a on zachichotał jeszcze radośniej. – Więc jeśli wujek Konrad rok w rok spędza tam całuteńki miesiąc, pod namiotem, w śpiworze, z mrówkami, komarami i tak dalej, i wraca szczęśliwy, to coś... to coś mi mówi, że tam naprawdę może być ciekawie.

Dalej, w głąb lasu, wiodła długa, kręta droga. Ciężkie od szadzi gałęzie zwieszały się nad nią, po obu stronach zaś piętrzyły się zwały śniegu. Przejazd był wąski, koła zapadały się w świeżym puchu, kołysało światem wewnątrz i światem na zewnątrz. Bożek przez chwilę miał bardzo niemiłe wrażenie, że nie tyle sunęli przed

siebie, ile pomału połykała ich gardziel jakiegoś łakomego potwora, który czał się w mroku na zbłąkanych podróżnych.

Zanim samochód w końcu wytoczył się na polanę, zmierzch zdążył już zapaść i na zewnątrz było całkiem ciemno. Mama zatrzymała się i zgasiła silnik, ale nie światła. W ich blasku, kawałek dalej, Bożek zobaczył niewysoki dom, chyba drewniany. W grubej, białej czapie, otoczony wysokimi zaspami, wydawał się zakopany w śniegu, jak gdyby przycupnął tu na moment i nieopatrznie przymknął oko tylko na jedną minutkę, no, może dwie, a zima natychmiast wykorzyststa okazję i opatuliła go z czułością. Niewielkie okno od frontu rozświetlał łagodny blask, a z komina unosił się dym. To oznaczało, że w środku ktoś był. I najwyraźniej na nich czekał, bo chwilę później drzwi otworzyły się na oścież, ów ktoś stanął na progu i zawołał:

– Chodźcie, chodźcie!

Pierwsza ruszyła mama, z torbą przewieszoną przez ramię, żeby przetrzeć szlak w wysokich, mokrych zaspach. Parę kroków za nią Bożek, unosząc kolana wysoko jak bocian, próbował mniej więcej trafić w jej ślady, lecz i tak co parę kroków lądował pupą w śniegu. Na samym końcu kroczył Tsadkiel ze swym niewzruszonym dostojeństwem oraz transporterem, z którego dobiegało mruczando budzącego się potwora. Jedno za drugim wdrapali się na ganek i zanurzyli w ciepłe.

Kilka kroków za progiem serce chłopca ścisnął niespodziewany lęk. Bożek przełknął ślinę. Dopiero teraz dotarło do niego, że pierwszy raz w swym dziesięcioletnim życiu będzie spał poza domem, domem, w którym mieszkał od urodzenia, na dodatek bez mamy, bez wujków, a nawet bez Licha! I to nie jedną noc, a dużo, dużo więcej! Wciąż między mamą a aniołem, wciąż bezpieczny, wychylił głowę i rozejrzał się chyłkiem, głuchy na rozmowę dorosłych, jaka zaczęła się toczyć bez jego udziału.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, zajmowało chyba pół całego domu, chociaż wcale nie było znowu takie duże. To raczej dom był mały... albo przytulny – Bożek przypomniał sobie właściwe słowo. Tak, właśnie taki był. Przytulny. Pachniał drewnem, żywicą, ogniem i ziołami, których pęczki zwieszały się spod sufitu obok

wiązek czosnku, cebuli i suszonych grzybów. Bożek czuł też wyraźnie zapach ciasta, chociaż samego ciasta nigdzie nie widział. Aż wychylił się śmieiej zza mamy, żeby mieć lepszy widok, i o mało nie krzyknął z zachwytu. W kącie po prawej, w głębi domu, stała najprawdziwsza kuchnia kaflowa! Wielka, biała, taka z fajerkami, piekarnikiem niczym z bajki o Babie Jadze (no dobrze, może trochę mniejszym) i wnęką na polana! Pod płytą wesoło buzował ogień, napełniając pomieszczenie przyjemnym, żywym ciepłem, zupełnie innym niż ciepło kaloryferowe. Bożek wychylił się jeszcze bardziej i po lewej, na wprost wejścia, zobaczył drewniany stół z ławami, krótszym bokiem dosunięty pod samo okno. W oknie zaś paliła się lampa.

Z piersi chłopca wyrwało się błogie westchnienie. W takim domu jak ten nie trzeba było czym prędzej ściągać butów, i to najlepiej jeszcze przed progiem, żeby broń Boże nie nanieść piachu czy błota na bezcenny parkiet, a potem siedzieć prosto i grzecznie odpowiadać na niegrzeczne pytania. Wprost przeciwnie – taki dom zapraszał, żeby wchodzili śmiało, nawet ze śniegiem na podszewkach, byle ze śmiechem na ustach, żeby rozgościli się i poczuli jak... no właśnie. Po prostu jak w domu. I miał w sobie coś... coś dziwnie znajomego...

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknął strach ściskający serce i gardło i Bożek zrozumiał, uchwycił to, co dotychczas uparcie mu umykało! Ten dom, obcy dom obcej cici, wydawał mu się taki znajomy, ponieważ cały pachniał Lichem, mimo że Licho od lat mieszkało gdzie indziej, jak gdyby polana pośród lasu wciąż była nim przesiąknięta. I nie, nie chodziło wcale o zapach pierza, brokatu i kakao. Ani kleju w sztyfcie. Ani serniczka, ani bitej śmietany... i mnóstwa innych słodkości. Dom cici pachniał tym, co przepełniało małego anioła od czubka głowy aż po stópki w kolorowych bamboszach – radością i śmiechem, bez troską i bezpieczeństwem nawet w najgorszą burzę, taką bez prądu, chociaż z piorunami. Pachniał dobrem.

W tej samej chwili mama przesunęła się kawałek i powiedziała:

– A to jest właśnie Bożek.

I wtedy zobaczył ciocię.

Pierwsze, co mu przyszło do głowy, to – o rany, ależ ta ciocia była wysoka! Chyba tak wysoka jak Tsadkiel i równie mocnej budowy. Nawet mama wydawała się przy niej drobniutka jak dziecko.



– Bożku? – Pochłonięty zachwytem chłopiec dopiero teraz dosłyszał, że mama coś do niego mówiła. – Bożku, a to jest ciocia Oda.

Ciocia podeszła i nachyliła się nad chłopcem. Dopiero z bliska zauważył, że jej policzki znaczyły piegi. I miała taką śmieszoną fryzurę! Zamiast opadać swobodnie na ramiona, jak przystało na dobrze ułożone włosy, te na jej głowie sterczały na wszystkie strony i niczym chmura słońce otaczały ciemnymi pukłami okrągłą, jasną twarz. U nasady nosa czerwieniła się śmieszna plamka, jak gdyby przez przypadek ciocia dotknęła się tam palcem brudnym od farby i tak już jej zostało.

Ale najpiękniejsze, najbardziej niesamowite były jej oczy – duże, zielone, w kształcie migdałów, z kurzymi łapkami, które w zewnętrznych kąciakach wyłobiły lata szczerzego śmiechu i równie szczerych łez. Spojrzały teraz prościuteńko w chabrowe oczy Bożka i roziskrzyły się nagle.

– Och, ależ my się już przecież znamy – rzekła ciocia Oda. – Prawda?

I jej zielone oczy zmrużyły się tak szelmowsko, tak przekornie, że Bożek nie miał innego wyjścia, jak tylko uśmiechnąć się od ucha do ucha. Bo choć jego głowa nie pamiętała tamtej chwili sprzed lat, gdyż jej pamiętać nie mogła, to serce bez wahania odparło, że to była prawda najprawdziwsza w świecie.

Pożegnanie z mamą nie było aż takie straszne, jak się z początku obawiał. Zapewne spory w tym udział miało wywęszone ciasto z jabłkami, cynamonem i brązowym cukrem, które kryło się na zapiecku, pod ściereczką w kratkę. Bożka nie trzeba było szczególnie namawiać. Od razu zabrał się do pałaszowania, podczas gdy mama i ciocia Oda piły kawę i rozmawiały, a Gucio próbował zwiedzić wiklinowy kosz, który stał nieopodal drzwi wejściowych i niezmiernie go fascynował. Ciocia co rusz podnosiła się z ławy, wyplątywała małego potwora z koca i odkładała na podłogę, tłumacząc mu łagodnie, że nie, Guciu, ten kosz jest już zajęty, ale jeśli chcesz, to dostaniesz swój i będziesz w nim mógł spać, tylko

potem, Guciu, dobrze? POTEW. Rozanielony Gucio pakował jej się na kolana, tulił kompletem macek i mrucał, a kilka minut później plomf, plomf, plomf – znów był przy koszu, który przyciągał go mocniej niż czekolada z orzechami albo frytki, albo żółte fluorescencyjne flamastry, i znów usiłował się w nim umościć. Jedynie Tsadkiel przez cały ten czas stał w kącie z dziwną miną, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Gdy Bożek był już tak bardzo pełen ciasta, że zmieściłby się w nim co najwyżej jeszcze jeden kawałek, ewentualnie dwa, mama dopiła swoją kawę, uściskała go mocno i ruszyła w długą drogę powrotną.

Tym właśnie sposobem rozpoczęły się pierwsze prawdziwe ferie w życiu Bożydara Antoniego Jekiełka.

– Doprawdy, alleluja – prychnął Tsadkiel ze swojego kąta parę minut później.

– Ale że czo...? – wymamrotał chłopiec z ustami pełnymi ciasta (tego ewentualnie drugiego kawałka. Po trzech poprzednich).

Ciocia Oda odwróciła głowę znad zlewu i też spojrzała pytająco na anioła. Lecz ten wciąż stał dokładnie tam, gdzie zatrzymał się przed godziną, i z pustym transporterem w dłoni powtarzał raz po raz:

– Doprawdy, alleluja. Doprawdy. Doprawdy!

– On ma tak zawsze? – zwróciła się ciocia do Bożka, a ten przełknął szybko, oblizał się i odparł:

– No... Chociaż zwykle to trochę jakby mniej – dodał po namyśle. Tsadkiel w sumie nie robił niczego niecodziennego – ot, stał i już, konsekwentnie i niewzruszenie jak posąg, robił to jednak tak sugestywnie, tak... tak INTENSYWNIE, że od samego patrzenia na to jego stanie Bożek nie mógł usiedzieć w miejscu. Ciocia Oda chyba odniosła podobne wrażenie, bo wytarła ręce i splótłszy je na piersi, długo taksowała anioła zaciekawionym spojrzeniem. W pewnym momencie przechyliła głowę i uśmiechnęła się – ale tak, że Bożka aż ciarki przeszły. Tsadkiela chyba też, bo drgnął gwałtownie, upuścił transporter, a potem fuknął, cofając się o parę kroków. Anielskie skrzydła zaszurały o ścianę.

Ciocia zareagowała na to cichym śmiechem.

– Coś cię tu i ówdzie uwiera, aniele – powiedziała i wróciła do mycia naczyń. Bożek dopiero po chwili zorientował się, że to wcale nie było pytanie. Ciocia miała rację. Tsadkiel naprawdę wyglądał, jak gdyby odczuwał przeraźliwe swędzenie wszystkiego i jedynie resztkami silnej woli powstrzymywał się przed drapaniem.

– O rany! – zakrzyknął chłopiec, zrywając się z ławy, jakby nagłe olśnienie nie tyle na niego spłynęło, ile ukłuło go w pośladek. – Może to ospa?

– Och, szczerze wątpię – rzekła ciocia. – Na moje oko twój anioł to raczej medyczna sensacja. Pierwszy w dziejach przypadek nabycia trwałej odporności przeciwko ospie metodą USW.

– Tsadkiel nie jest moim aniołem! – zaprotestował chłopiec. – Mój anioł jest miły i wszyscy go lubią. Tsadkiel to... no, Tsadkiel. A co to jest u es wu?

– Uparte Strofowanie Wirusa.

Anioł stróż, ignorując ich śmiech, odezwał się z całą surowością, na jaką mógł się zdobyć, a miał jej spore zapasy:

– Chodzi o to, że panujące tu warunki urągają wszelkim normom!

– Po czym przystąpił do skrupulatnego wyliczania: – Socjalnym, higieniczno-sanitarnym, budowlanym i przeciwpożarowym! Niedostateczny metraż na osobę, otwarty ogień, brak centralnego ogrzewania, brak prądu...

– Tu nie ma prądu? – podchwycił Bożek i natychmiast zaczął się rozglądać. Rzeczywiście, na żadnej ścianie nie było pstryczka! Przyjrzał się uważniej lampom, które oświetlały dom. Jedna stała tuż obok, na parapecie, druga zaś wisiała nad kuchnią, na grubym haczyku. Kształtem przypominały trochę stare lampy sztormowe, takie na naftę, z tą jednak różnicą, że nie migotał w nich żywy płomień. Te zasilane bateriami żarówki dawały białe, jednostajne światło.

– Ano nie ma – przytaknęła ciocia, przelotem zerkając przez ramię na anioła, który nie przestawał wyliczać. – Podobnie jak...

– ...cieplej wody, kanalizacji...

– O, właśnie.

– Rany jeża... To jak my się będziemy tu myć? – zapytał Bożek z przejęciem i może jeszcze z tycią, tycieńką nadzieją, że w tych

okolicznościach zostanie zwolniony z uprzykrzonego obowiązku codziennej kąpieli. Niestety, mina cici Ody nie pozostawiała większych złudzeń.

– Nic z tych rzeczy, gagatku. Zapomnij! Na tę okoliczność posiadam duży garnek – powiedziała i pokazała palcem w górę. Nad jej głową, zawieszony pod samym sufitem, czernił się wielki gar. Krakiers chyba popłakałby się ze wzruszenia, mógłby w nim nastawić niedzielny rosółek dla pułku wojska. – Widzisz? W sam raz na jednego małego chłopca... albo pół dużego anioła.

– ...i jeszcze ten straszliwy, potworny, koszmarny SMRÓD! – dokończył tymczasem Tsadkiel z triumfem w głosie. – Doprawdy, alleluja, czy tu coś zdechło?!

Dwie pary wielkich oczu, zielonych i chabrowych, utkwily w nim jednakowo zdumione spojrzenie.

– Co proszę...?

– Jaki smród? – Bożek pociągał nosem i pociągał, i pociągał, aż mu łzy napłynęły do oczu, a i tak czuł jedynie te same zapachy co na początku. Drewno i ogień, zioła i ciasto. I z pewnością żadnego smrodu. O co chodziło temu szurniętemu aniołowi, czego się znowu czepiał?

– Przecież powiedziałem wyraźnie. Straszliwy, potworny, koszmarny – powtórzył Tsadkiel, marszcząc nos na znak obrzydzenia. – Cały ten dom cuchnie. Jakby spaleniżną. I sierścią. I... i... czymś!

Na te słowa cicia Oda najpierw znieruchomiła, a potem zaśmiała się krótko.

– Ach, no tak. Gdzie ja mam głowę...

Minęła skrzywionego anioła stróża i otworzyła drzwi do drugiego pomieszczenia za ścianą, pod którą stał stół. Zajrzała do środka.

– Możesz już wyjść – usłyszeli jej łagodny głos. – No, chodź, chodź, nie bój się. Nie są tacy straszni... a przynajmniej ci mniejsi, bo ten największy to okropna zrzęda.

I nagle BUM! Za ścianą coś uderzyło o podłogę! Bożek podskoczył, Guccio plomfnął i popuścił małego kleksa, nawet Tsadkiel odsunął się na wszelki wypadek. Chwilę później zza drzwi

wysunęła się mała, kudłata głowa o oczach jak dwa guziczki i czarnym, mokrym nosie.

– Poznajcie Kuleczkę.

Psina! Malutka, wielkości drobnego kota, o sierści długiej i prawie czarnej, z wyjątkiem białego skrawka pod szyją. Gucio zabalgotał ze szczęścia i na znak, że zamiary ma jak najlepsze i wcale nie trzeba się go bać, ułożył się brzuchem do góry, rozpościerając macki niczym wielka rozgwiazda, tylko bardziej. I chyba rzeczywiście prezentował się w tej pozycji wielce przyjaźnie, bo Kuleczka natychmiast przydreptała, żeby obwąchać małego potwora. A merdała przy tym ogonem z takim zapałem, że aż sama się przewróciła i wylądowała na plecach. Ciemna macka tylko na to czekała. Zaraz zaczęła ją łaskotać po jaśniejszym brzuszku.

– Cioociuuu... – wyszeptał Bożek, z przejęciem wpatrując się w psinę, której radosne piski przeplatały się z wniebowziętymi pomrukami Gucia. Gucio uwielbiał małe zwierzątka. – Ciociu, przecież ona nie ma łapki! Tam z tyłu!

– Ano nie ma. Ma za to wielkie serce i jeszcze większego ducha dla równowagi.

Cóż, jeśli ciocia sądziła, że ta odpowiedź zaspokoi Bożkową ciekawość, to była w wielkim błędzie!

Przegoniwszy Gucia i Kuleczkę, żeby tarzali się nieco bardziej z boku zamiast pod nogami, ciocia Oda zarządziła przygotowania do kąpieli. Ściągnęła wielki gar i wręczyła aniołowi z przykazaniem, by napełnił go wodą w łazience, a następnie przyniósł z powrotem i postawił na kuchni. Sama tymczasem solidnie dołożyła do ognia, odpowiadając cierpliwie na pytania, które wysypywały się z Bożka.

– No? Co tak stoisz? – Między kolejnymi pytaniami (po „a czemu ona nie ma łapki?” i przed „a czemu ktoś ją porzucił?”, po którym nastąpiło „a czemu ludzie tak robią?”) popędziła Tsadkiela, gdyż ten stał beczynnie i ze zde gustowaną miną patrzył na gar. – Tu się trzyma, tu się wlewa. A jak się obróci do góry dnem, to się wylewa. Tyle teorii, a teraz – do praktyki przystąp!

– A opróżniać tę wannę będziemy czym? Kubeczkiem, alleluja?

– Możesz i kubeczkiem, jeśli chcesz, ja ci nie wróg – odparowała ciocia. Przewrotny uśmiech zadrgał w kącikach jej ust. – Choć tak

na mój rozum domowa oczyszczalnia ścieków z drenażem rozsączającym nada się do tego znacznie lepiej.

Posągowe oblicze Tsadkiela pozostało niewzruszone, jak to zwykle z posągami bywa. Jedyne wyraz ametystowych oczu zdradzał intensywne procesy myślowe, które zachodziły przez chwilę w anielskim umyśle.

– Owszem, nada – przyznał wreszcie.

Oda klasnęła w dłonie.

– Alleluja! – zakrzyknęła. – A teraz łap się za ten garnek, bo trzeba zagrzać takie trzy. Chyba że chcesz się dziś kąpać w zimnej wodzie, to proszę bardzo.

Tsadkiel bez słowa poszedł napełnić gar.

– Ciociu...? – Bożek aż wspiął się na palce, żeby dosłyszała jego szept. – A co to jest drenaż roz... roz... no, ten?

– Nie wiem – odparła równie cichym głosem i puściła do chłopca oko. – Ale sam przyznasz, że robi odpowiednie wrażenie.

Godzinę i dwa gary wody później, gdy wreszcie przyszła kolej anioła, Bożek leżał już w łóżku, wykąpany i bardzo, bardzo śpiący, a ciocia opatuląca go kołdrą. Noc w lesie była zupełnie inna niż w mieście – niesamowicie cicha i ciemna. Jedyne wąski snop światła wpadał do środka przez uchylone drzwi sypialni, oświetlając mackę, która wystawała spod łóżka. Mały potwór od kwadransa chrapał w najlepsze.

– Ciociu... – wymruczał chłopiec, gdy w ostatnim przebłysku świadomości przypomniał sobie o Czymś Bardzo, Ale To Bardzo Ważnym.

– Tak, Bożku?

– A czy mama ci mówiła o... no wiesz?

– O czym?

– No bo... bo ja nie jestem takim zwykłym chłopcem, wiesz?

Dłoń cioci zanurzyła się w jego szalonych włosach i potarłosiła je pieszczotliwie. Westchnął z lubością. Wciąż nie wiedział zbyt wiele o cioci, poza tym, że była ciocią i lekarzem i miała takie zabawne imię – Oda. Jak wiersz. Albo jak piosenka. Za to czuł tyle, że prawie go rozsadzało! Kiedy się uśmiechała tymi niesamowitymi

oczami, wszystko w nim aż śpiewało, i to na całe gardło. A jak przy tym pachniała, ach! Ciepłem i miłością, ogniem i... wiatrem.

Wiatrem?

Co za głupiutka myśl...

– Wiem, Bożku – odparła tymczasem ciocia. – Wiem wszystko.

– Na-a-prawdę...? – ziewnął, przegrywając walkę z własnymi powiekami, które opadały mu coraz ciężej i ciężej.

– Naprawdę. – Zdążył jeszcze usłyszeć jej głos, taki miły i roześmiany, i taki... taki uroczy... – Bo widzisz, Bożku, ja też nie jestem taką zwykłą ciocią...

Ranek przyszedł jakoś tak szybciej niż zwykle, jak gdyby w tych okolicach słońce wstawało chętniej niż w mieście. Słońce i dzieci. No i potwory też.

Wygrzebawszy się spod kołdry, Bożek ziewnął, a potem rozejrzał się po sypialni. Ciocia odstąpiła mu własne łóżko, sama zaś przeniosła się do kuchni. Poprzedniego wieczoru, kiedy chłopiec i jego potwór taplali się w wannie, razem z Tsadkiem ściągnęła ze strychu dwie kanadyjki. Najpierw Bożek strasznie się śmiał z tego słowa (które oznaczało po prostu rozkładane łóżko z materacem), ale potem trochę zazdrościł aniołowi, że będzie spał na czymś tak fajnym.

Teraz kanadyjka stała w kącie, starannie złożona i nakryta tobołkiem z pościeli, a zza ściany dobiegały przytłumione głosy, co oznaczało, że wszyscy poza chłopcem już wstali. Bożek uklęknął na łóżku i wyjrzał przez okno – i zobaczył istny raj! Gęstość lasu, błękit nieba, jasność słońca i biel, wszechobecną, iskrzącą się biel śniegu, które kusiły, nęciły, przyzywały! Nie tracąc więcej czasu, chłopiec wyskoczył z łóżka jak z procy i pognął do kuchni, gdzie ciocia już szykowała śniadanie. Wciągnął miseczkę owsianki z suszonymi owocami, dopełnił ciepłą herbatą i pognął się ubierać.

Ubieranie się na śnieg wyglądało mniej więcej tak: Tsadkiel wręczał Bożkowi kolejne elementy garderoby, po czym ciocia, przewracając oczami, zabierała mu co drugi. Tym sposobem do torby wróciły podkoszulek, straszliwe kalesony i dodatkowa para

skarpet z grubej frotty. Zostały koszulka z krótkim rękawem, polarowa bluza, na to zaś narciarskie spodnie i kurtka. Tsadkiel oburzał się, że bez dodatkowej ochrony termicznej dziecko z pewnością zmarznie i się przeziębii, ciocia zaś, zbrojna w lekarski autorytet, odpowiadała niewzruszenie, że lepiej nieco zmarznąć, niż się przegrzać. Tymczasem wzmiankowane dziecko już dawno zdążyło wskoczyć w śniegowce, porwać czapkę, rękawiczki oraz Gucia i polecieć na podwórko, ciesząc się świeżym powietrzem i pełną swobodą ruchu. A oni wciąż dyskutowali nad związkiem liczby warstw odzieży z potencjalną infekcją i niechybną śmiercią od tak zwanego zawiania, w które anioł wierzył święcie, ciocia zaś nie za bardzo.

– Zmarznie – upierał się Tsadkiel, lecz Oda pokładami cierpliwości mogłaby poskromić całe zastępy takich uparciuchów jak on, a co dopiero jednego.

– To się rozgrzeje.

– Zmoknie.

– To się wysuszy.

– Doprawdy, alleluja!

– Z ust mi to wyjąłeś! A teraz wskakuj w ten swój komfort termiczny i chodź, przydasz się na coś.

To był dopiero dzień! Bożek szalał na całego, rumiany jak jabłuszko, przeschęśliwy i ani trochę nie zmarznięty. No bo jak miał zmarznąć i kiedy, skoro ciągle biegał, skakał, ganiał się z Kuleczką i tarzał po śniegu, robiąc orła za orłem? Gucio też chciał zrobić orła, tylko wyszło mu kółeczko. Bardzo ładne kółeczko, dlatego zaraz zrobił pięć kolejnych, żeby temu pierwszemu nie było przykro tak w samotności, i wkrótce cała polana wyglądała jak po lądowaniu eskadry latających spodków.

A potem przyszła ciocia Oda i zaczęła rąbać drewno.

BACH! BACH! BACH! Jeden po drugim ciężkie, grube kloce rozpadały się na zgrabne polana. BACH! BACH! BACH! Śmigła siekiera! Ciocia machała nią z taką wprawą i swobodą, jak gdyby rąbała cukrowe pianki, nie twarde, zmarznięte drewno. Na ten widok wujaszek Turu, który wielbił silne kobiety bardziej niż sernik, jak nic osmarkałyby się ze wzruszenia i nawet w oczach Tsadkiela

mignęło coś na kształt podziwu. Z początku anioł stróż chciał ciocię wyręczyć, ale przemyślał sprawę i zamiast tego zajął się noszeniem polan do domu. Może kierowało nim szczere uznanie, a może zdrowy rozsądek.

Wczesnym popołudniem wszyscy zrobili sobie przerwę na krupnik, gorący, gęsty i pieprzny, po czym znów wylegli na podwórko i urządzili największą bitwę na śnieżki, jaką kiedykolwiek oglądał ten las. Początkowo próbowali się podzielić na dwie drużyny, mniej więcej po równo (Kuleczka dynamicznie zmieniała strony), jednak z tego po równo szybko zrobiło się Gucio kontra cała reszta. A i tak, mimo przewagi liczebnej, nie mieli szans w starciu z mackami małego potwora, który lepił śnieżki jak maszyna, a miotał nimi jeszcze lepiej.

Do domu wrócili na dobre dopiero o zmierzchu, z uśmiechem na gębach i śniegiem za kołnierzami. (Niektórym dotarł aż do majtek, do czego owi niektórzy nie przyznali się nikomu, gdyż wzmiankowany nikt wcisnąłby im potem Kalesony Zagłady i już nic by go od tego nie odwiodło). Ciocia od razu zajęła się ogniem, który przygasł pod ich nieobecność. W tym czasie Bożek wziął się za osuszanie rozbrykanego Gucia, Tsadkielowi zaś przypadła Kuleczka. Długa, przemoczona sierść psiny stanowiła wyzwanie w sam raz dla kogoś tak pieczołowitego. Wymagała nadzwyczaj skrupulatnego wytarcia, osuszenia i... obwąchania...?

– Co ty robisz...? – zapytał półgłosem chłopiec, bo anioł wetknął nos w psi kark i zaczął NIUCHAĆ!

– Sprawdzam – odparł Tsadkiel, jakby to wszystko wyjaśniało. Niuchnął jeszcze raz lewą dziurką, następnie prawą, na koniec zaś obydwoma, po czym wrócił do wycierania lekko skonsternowanej Kuleczki. Ale chłopiec dałby sobie rękę obciąć albo... albo kalesony założyć, że przedtem anioł stróż rzucił w kierunku cioci przelotne, za to bardzo wymowne spojrzenie.

Tego wieczoru Bożek zasnął snem kamiennym, ledwo dotknął głową poduszki.

Przebudził się w środku nocy i było to przebudzenie bardzo gwałtowne. Usiadł, rozglądając się w ciemności. Jak gdyby jego ciało już wiedziało, że coś się dzieje, coś dziwnego, że trzeba

wstawać, działać, chociaż głowa wciąż nie rozumiała, o co chodzi i dlaczego w ogóle ją budzą o tak niehumanitarnej porze.

Dopóki nie usłyszał kroków za ścianą, a po nich trzasku zamykanych drzwi. Głowa od razu dogoniła resztę człowieka.

Oprzytomniały już całkiem chłopiec wymacał skraj łóżka i ostrożnie stanął na skrawku podłogi, który dzielił go od kanadyjki ze śpiącym Tsadkiem. Nie odrywając stóp od ziemi, żeby w tym mroku nie nadepnąć żadnej macki, poszurał w stronę świetlistej szczeliny między drzwiami a progiem.

Lampa na parapecie wciąż była włączona, za to druga, ta z nad kuchni, zniknęła z haczyka. Kanadyjka stała pusta, jeśli nie liczyć równo rozestanej pościeli. Za uchylonymi drzwiami łazienki panowała ciemność.

Bożek z dudniącym sercem dopadł frontowego okna i czym prędzej wyjrzał w noc. I tylko dlatego zdążył jeszcze dostrzec ciocię, która z lampą w dłoni zniknęła właśnie wśród drzew.

Przez kilka następnych dni nie działo się nic niezwykłego. Co rano, gdy Bożek wstawał, ciocia piła kawę przy stole albo szykowała śniadanie i niczym nie dawała po sobie poznać, że w nocy ruszała się z łóżka dalej niż do łazienki. Tsadkiel zwykle obierał coś w skupieniu – jabłka na kompot albo warzywa na zupę – i z pozoru nie węszył już za źródłem tajemniczego smrodu, którego nie czuł nikt poza nim. Bożek szedł za ich przykładem i również nie zdradzał, że cokolwiek zauważył. Jedynie Guccio, bulgocząc i piszcząc, radośnie przewalał się z psem po podłodze i nie udawał absolutnie niczego, całym sobą skupiając się na byciu bardzo małym i bardzo szczęśliwym potworem.

Co drugi dzień Bożek wybierał się z ciocią i Kuleczką na długi popołudniowy spacer. Mniej więcej w połowie drogi do szosy zaczynał się zasięg i mogli zadzwonić do mamy. Najpierw Bożek zapewniał ją, że bawi się tu doskonale i wcale cioci nie przeszkadza, i słucha się, i zjada całą zupę, i w sumie wszystko gra, i nawet Tsadkiel już tyle nie zrzędzi. Potem mama zapewniała Bożka, że w domu nic się nie zmieniło, że Licho wciąż jest całe w bąble

i Krakera jest cały w bąble, i wujek Konrad też, chociaż mniej, za to z tej trójki marudzi chyba najbardziej. Na koniec telefon przejmowała ciocia Oda i zapewniała, że ona też bawi się doskonale i też zjada całą zupę, i że mama w ogóle nie musi się niczym martwić. A potem wołała Kuleczkę, która buszowała wśród zasp, i wracali na polanę, żeby robić to, o czym zupełnym przypadkiem nie wspomnieli mamie – na przykład zjeść kilogram krówek albo zjeżdżać z werandy na plastikowych sankach, zwanych pupoślizgiem (SERIO).

Aż pewnego ranka chłopca obudził dziwny dźwięk.

W pierwszej chwili myślał, że komuś upadł widelec, bo dźwięk był wyraźnie metaliczny. Tyle że po kilku sekundach rozległ się znowu i znowu, i znowu, brzdęk, brzdęk, brzdęk – a przecież nikt nie upuszcza widelca tak często!

Za oknem dopiero zaczynało się rozjaśniać, i to jakoś bez przekonania, nic dziwnego więc, że anioł i potwór wciąż spali w najlepsze. Najwyraźniej ten dziwny dźwięk obudził tylko Bożka.

Brzdęk.

Brzdęk.

Brzdęk.

Brzdęk-brzdęk-brzdęęę!

Tego już było stanowczo za wiele. Chłopiec wyplątał się z kołdry i poszedł zapytać ciocię, co też wydawało ten irytujący odgłos.

Cioci Ody nie było ani w kuchni, ani w łazience, za to na talerzu, pośrodku stołu, piętrzyły się już naleśniki. Zimne, co Bożek sprawdził własnym palcem, po czym zwinął sobie jeden z nich w złocisty rulonik. Żując pierwszy kęs, wyrzwał najpierw przez okno nad stołem, ale nie zobaczył tam nic poza śniegiem i niewzruszoną ścianą lasu. Podreptał zatem do okna przy wejściu, przekonany, że ujrzy ciocię w akcji z siekierą.

Lecz tam też jej nie było.

Na zasypanej śniegiem polanie czerniło się jedynie stare, powykęcane, spalone drzewo, ostatnia pozostałość po pożarze sprzed lat. Wyglądało trochę strasznie, ale Bożek, gdy na nie patrzył, wcale nie myślał o tej straszności. A przynajmniej bardzo się starał. Wolał myśleć o tym, że kiedyś w cieniu właśnie tego drzewa, a może

i na którejś gałęzi, przesiadywało jego ukochane Licho. I była to bardzo przyjemna myśl.

Tyle że to było kiedyś. Bo dzisiaj na tym starym, powykęcany, spalonym drzewie siedziała koza i grała na cymbałkach.

Bożek zamrugał raz. I drugi. I trzeci, a zaraz czwarty i piąty. Ale to całe mruganie nic a nic nie pomagało – koza jak siedziała na drzewie przedtem, tak siedziała tam nadal i brzdękała z zapalem na cymbałkach. Miała na sobie długi szaliczek w kolorowe paseczki, na jej głowie zaś, dokładnie między różkami, sterczał może niewielki, za to nadzwyczaj kształtny koczek.

– Cio... cio... ciociu...? – wymamrotał pół chłopiec, pół widmo, który posiadał jednego osobistego anioła stróża i jednego pożyczonego, i potwora, który kradł mu kapcie i wysysał tusz z fluorescencyjnych zakreślaczy, i drugiego, dziesięć razy większego, który smażył mu pączki, i dzinna w butelce, i utopca w wannie, i trzy widma, i całe stado różowych królików, i zielonego gluta za ojca, ale nigdy, PRZENIGDY nie widział na oczy kozy grającej na cymbałkach. Stał więc z rozdziawionymi ustami i patrzył, i patrzył, i PATRZYŁ, na śmierć zapominając o naleśniku.



Koza tymczasem wybrzdękała, co miała do wybrzdękania, schowała cymbałki wraz z pałeczkami do torebki, tę przewiesiła sobie przez tors, po czym wdzięcznie zeskoczyła z drzewa na śnieg. I zniknęła.

– Och, alleluja! – zakrzyknął Bożek z przejęciem. Bez zastanowienia złapał swoje śniegowce i bez kurtki, w samej piżamie, popędził na ratunek rogatemu cymbaliście.

Drogę do dziury, w której na dobre utknęła koza, wskazał mu bardzo skonsternowany koczek. Koza była niewielka, śnieg zaś zbyt mokry i ciężki, żeby zdołała uwolnić się własnymi siłami. Mogła co najwyżej rozglądać się bezradnie, prychając białym puchem, który wpadł jej do nosa i paszczy.

– Och, dżen topry! – przywitała się, naraz ujrawszy nad sobą złocistą głowę, i uśmiechnęła bardzo przyjaźnie. I bardzo, naprawdę BARDZO zębato, jak gdyby przez przypadek założyła sztuczną szczękę w rozmiarze pasującym raczej na krowę niż kozę. – Pszyżnam, że tego ne pszefidżałem...

– Co proszę? – zapytał chłopiec, który nie zrozumiał.

– Czo prosze? – zapytała koza, która śnieg miała nie tylko w paszczy, torebce i pod pachami, ale również w uszach.

Nie tracąc czasu, Bożek szybko ocenił sytuację. Początkowo zamierzał po prostu złapać kozę za rogi i wyciągnąć z pułapki. Niestety, nie dość, że sam zapadł się w zaspę, wskutek czego w strategicznym rejonie pupy zrobiło mu się niezmiernie mokro i zimno, to jeszcze niechcący przysypał kozę nieco bardziej.

– No ej – dobiegło go z dziury. – Chyba folałbym ne.

– Przepraszam! – zawołał chłopiec. I wtedy przyszedł mu do głowy o wiele lepszy pomysł. – Zaczekaj tu, zaraz wrócę!

Niczym burza wpadł do domu, wspiął się na stołek i z haczyka na ścianie ściągnął wielką metalową łyżkę. Pojęcia nie miał, do czego mogła służyć w kuchni (bo chyba tylko Krakery dałyby radę wetknąć ją do otworu gębowego), uznał jednak, że do wykopania kozy będzie jak znalazł.

– DOPRAWDY, ALLELUJA! – huknęło nagle za jego plecami. Zaskoczony Bożek zachwiał się na stołku. W ostatniej chwili złapał równowagę. Z westchnieniem ulgi obejrzał się za siebie.

W drzwiach sypialni stał Tsadkiel z niedowierzaniem i oburzeniem wypisanym na nieskazitelnym pięknym obliczu. Zza nóg anioła wyglądał Gucio, mrugając licznymi oczkami.

– Pflomppp...?

– Czy ty zamierzasz rozwinać zapalenie układu moczowego?!

– Może potem. Teraz zamierzam wykopać kozę – odparł Bożek ze stoickim spokojem i rzucił aniołowi chochlę. – Łap! Guciu, ty też chodź... znaczy, pełnij... znaczy... cokolwiek robisz, rób to za mną!

I nie dając aniołowi szansy na protest, z łyżką w garści pospieszył na pomoc uwięzionej kozie. Guciovi też nie trzeba było powtarzać. Sturlał się ochoczo z werandy i poszedł... znaczy, popełznął... znaczy, przemieścił się w ślad za chłopcem aż pod straszne drzewo i tam z werwą zabrali się do pracy. Macki zgarniały grudy śniegu na boki, łyżka z uporem drażyła temat, a z jamy chrzęściło i szeleściło raz za razem:

– Dżemkujem, dżemkujem, czuje sze fjelcze zobofjonżany. Naprafde. Jeszteszcze nat fyraż mili.

Usłyszawszy ten głos, anioł stróż, który stał na progu z chochlą w dłoni i rozważał możliwości, uniósł brew. Gadająca koza...? Zstąpił z werandy, kilkoma krokami przemierzył odległość dzielącą go od drzewa i stanowczym ruchem odsunął Bożka, by zajrzeć do jamy.

Z dołu uśmiechnęła się do niego zębata kozia gęba.

– Och, dżen topry i tobje! Bomba szkszydełka!

Tsadkiel odskoczył, jak gdyby buchnął na niego ogień piekielny. Gdy podniósł wzrok na chłopca i potwora, którzy znieruchomieli mimowolnie, w jego ametystowych oczach malowała się nieopisana groza. A przy tym cały zmarszczył się ze wstrętu, od czoła przez brwi aż po kształtny nos, porażony wonią najobrzydliwszą, jaką anioł mógł sobie wyobrazić.

– To. Jest. DIABEŁ! – wycedził, wskazując chochlą na jamę.

– O, nenene – zaterkotało z głębi zasy. – Prosze sze ne dacz żwjeszcz pozorom. F szeczyfisztoszczy jesztem czortem.

– Proszę, alleluja! No, proszę!!! Jeszcze nawet nie wylazł z tej jamy piekielnej, a już zwodzi! Precz stąd, diabelska gadzino! – zakrzyknął Tsadkiel, z braku płomiennego miecza wymachując chochlą. – Precz, mówię!!!

– Chentnje bym precznoł, ale utknołem. I chciałbym żaufażycz, że tracze czucze f pupczy. A jesztem do nej doszcz pszyfjonżany i...

Anielskie skrzydła rozpostarły się z głośnym szelestem, wzbijając w powietrze tuman śniegu. Jakie one były piękne, jakie potężne! Bożek aż przysiadł na śniegu z wrażenia! Ametystowe oczy Tsadkiela rozbłysły gniewem, a twarz pojaśniała jeszcze bardziej.

– MILCZ, POMIOCIE MEFISTOFELOWY! – zagrzemiał głos dźwięczny jak dzwon i jak dzwon donośny.

– Och, alesz ty masz efekty! – westchnął czort z bezbrzeżnym zachwytem. – Żróp tak jeszcze rasz!

– Dopraw... – zaczął anioł, lecz nieoczekiwanie w słowo wszedł mu Bożek.

– Wiesz co? – Chłopiec wcisnął się między anioła i jamę, w której tkwił kozi czort. – Jak nie chcesz mi pomóc z kopaniem, to chociaż nie przeszkadzaj, dobra? Stój sobie tam i patrz, a ja się spocę i zmęcę, i zmarznę, i rozwinę zapalenie układu moczowego, i umrę, i dopiero ci będzie głupio!!!

Echo poniosło jego okrzyk po polanie i dalej, w głąb lasu.

– Fyczufam tu pefne napjencze – dobiegło z głębi śnieżnej jamy. – Ale ne jesztem pefjen.

– To jest diabeł, Bożydarze – przemówił surowym tonem Tsadkiel. – Istota na wskroś zła, tak jak anioły są na wskroś dobre. A ja nie przybyłem tu, aby paktować z siłami nieczystymi, tylko...

– Wcale się nie prosiłem, żebyś tu przybywał, wiesz? – przerwał mu Bożek. – Taki z ciebie anioł, tak? Licho by się nawet nie zastanawiało! Pomogłoby mi go wykopać, a potem... – tu zniżył głos i zmrużywszy powieki, jakby szykował się do ostatecznego pogiębienia przeciwnika, podjął na nowo: – ...a potem zrobiłoby mu kakałko. Gorące.

– Och! Ne fjem, o kim mofa, ale jusz go lubje!

– Bo właśnie tak robią prawdziwe anioły! – ciągnął chłopiec, już całkiem pozwalając, by poniosła go złość. Nie odrywał przy tym chabrowych oczu od osłupiałego Tsadkiela. – Nie oceniają, nie zrzedzą, nie węższą wszędzie spisków i smrodów, byle się znów przyczepić i udowodnić swoją wyższość, tylko pomagają komuś w potrzebie. KAŻDEMU KOMUŚ! Ale co ty tam wiesz. Ty nie jesteś prawdziwym aniołem, jak Licho. Jesteś tylko nieczułym, głupim posągiem z kamienia.

Po tych słowach zapadła cisza. Bożek i Guccio wrócili do kopania, a Tsadkiel stał nad nimi w milczeniu, zapatrzony we wszechobecną biel śniegu – tak nieskazitelną, tak jasną, że do oczu aż napłynęły mu łzy.

Tak. To na pewno przez ten śnieg. Bo czemu anioł miałby płakać?

Zapadał już zmierzch, kiedy u wylotu ścieżki pokazała się wysoka postać w kurtce i czapce z nedorzecznie wielkim pomponem. Druga, równie wysoka, za to o wiele bardziej skrzydlata, stała nieopodal spalonego drzewa. W pierwszej chwili mogłoby się wydawać, że wyszła tej nadciągającej naprzeciw, ale nie. Patrzyła przecież w zupełnie inną stronę.

Zrównawszy się z zastygłym aniołem, ciocia Oda przystanąła. Gdyby nie wiedziała, że patrzy na żywe stworzenie, z łatwością dałaby się zwieść. Musiał tu tkwić od dawna i przemarznąć na kość, bo usta miał już niemal tej samej barwy co oczy, a poblądł tak, że wydawał się przezroczystry. Mimo to nie drżał ani nie dygotał. Ot, stał sobie, jeszcze bardziej podobny do posągu z marmuru czy kamienia – z chochlą w zaciśniętych palcach, nieruchomy, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń gdzieś w oddali, zasłuchany w głosy, których nikt poza nim nie mógł usłyszeć.

– Po twojej zaciętej minie wnioskuję, że poznałeś już Bazyla – odezwała się Oda, a w kąciku jej ust igrał mimowolny uśmiech. Przechyliła głowę, jak gdyby tylko pod tym kątem mogła dostrzec to, co kryło się głęboko pod spodem, pod fasadą pozorów. W końcu musnęła palcami anielskie ramię, łagodnie, lecz ponagłajaco. – No, nie stój tak. Nadciąga śnieżyca. Wolałbyś spędzić ją w domu, choćby i w towarzystwie straszliwego czorta.

Tsadkiel spojrział w górę. Na nietkniętym choćby pojedynczą chmurą niebie tu i tam rozbłyskiwały pierwsze gwiazdy.

– Uwierz mi, aniele – dodała, widząc jego zwątpienie. – Wiem, co mówię.

Dom przywitał ich ciepłem, światłem i zapachem racuchów z jabłkami. Bożek, z buzią białą od cukru pudru, właśnie wylizywał talerz, podczas gdy na podłodze mały potwór łaskotał zapamiętane

małego czorta wszystkimi mackami naraz. Tuż obok popiskiwała radośnie Kuleczka, to przyskakując w zasięg macek, to odskakując czym prędzej, gdy tylko jedna z nich próbowała jej sięgnąć.

– Odżin... Odżin... Odżinko! – wydusił Bazyl na widok cioci. – Ratuj mnie sz tej opreszji!

Teraz, gdy nie tkwił w zaspie, można go było obejrzeć w pełnej krasie. Wzrostem sięgał dorosłemu człowiekowi co najwyżej do pasa, a i to głównie za sprawą różków. Z pyska przypominał ni to kozę, ni lamę, z uzębienia zaś koszmar każdego ortodonta. Uszy miał kłapciate, sierść jasnobrązową i kudłatą, na czubku głowy dłuższą i zebraną w koczek (gustowny i, jak wyszło w praniu, również bardzo praktyczny w sytuacji pochłonięcia przez żarłoczną zaspę). Z wydatnego kuperka zwisał mu ogonek zwieńczony puchatą kitą. Musiał zabawnie dyndać, kiedy czort dreptał na tych swoich krótkich, pękatych nóżkach, zakończonych klasycznymi kopytkami.

Był więc Bazyl czortem rozkosznym, zabawnym i ani trochę strasznym.

Lecz Tsadkiel najwyraźniej uważał inaczej. Krzywiąc się okrutnie, zatrzymał się tuż za progiem i stamtąd rzucał pełne złości spojrzenia w kierunku to czorta, to Ody, która jak gdyby nigdy nic ściągała z siebie warstwy zimowej odzieży.

– Dlaczego? – zapytał wreszcie. – Dlaczego skazujesz nas na towarzystwo tej diabelskiej gadziny?!

– O, pszepraszam, czortofskej gaździny, jeszli jusz.

– Gadziny, Bazylku, gaździna to żona gazdy – sprostowała Oda.

– Aha... A gadzina to żona gada...?

– Blisko. – Odwiesiła kurtkę i stanęła przed aniołem. – Posłuchaj. Przez wzgląd na twój komfort... parapsychofizyczny na czas waszego pobytu tutaj Bazyl miał zniknąć. Tak przynajmniej ustaliłam z Konradem. Niestety, okazało się, że w mojej przychodni zabrakło lekarza i musiałam pilnie wrócić do pracy. Lubię wyzwania, ale nawet ja nie zostawię dziesięciolatka bez opieki w samym środku lasu. Ktoś musi się zająć Bożkiem pod moją nieobecność.

Odpowiedziało jej pełne wyższości prychnięcie.

– Doprawdy, alleluja! Jestem aniołem stróżem, robię to doskonale!

– Nie wątpię – przyznała pojednawczym tonem. – Ale Bazyl robi to lepiej.

– DIABEŁ?!

– Czort – poprawiła Oda łagodnie i uprzedzając dalsze protesty anioła, dodała: – Tak. Bo Bazyl, w przeciwieństwie do ciebie, zna i dom, i okolice. A przede wszystkim zna ten las i rządzące nim zasady równie dobrze co ja. I można na nim polegać. Tak czy siak, to już postanowione. Bazyl doskonale sobie ze wszystkim poradzi, z domem, z opieką nad Bożkiem... a nawet z tobą. Prawda, Bazylku?

– Och, oczyfiszcze. Zadkel jeszt pszeszłotki!

– Tsadkiel – warknął anioł, wciąż najeżony jak szczotka ryżowa.

– No pszczesz mófję. Zadkel.

Tsadkiel aż zgrzytnął zębami.

– Wymowa tego obmierzłego stworzenia – wycedził do Ody – jest zbrodnią na polszczyźnie, ze szczególnym uwzględnieniem nieszczęsnych spółgłosek szczelinowych!

– Uhm. – Ciocia z całkowitą powagą pokiwała głową. – Jak również nosówek i jeszcze paru innych dźwięków. Tyłozgryz, ale co poradzisz, trudno znaleźć ortodontę dla czorta. I nie myśl, że nie szukałam!

– Jaki on daje dziecku przykład?!

– Och, kiepski... – westchnęła ciocia i pokręciła głową. Jej przyklepane czapką pukle wyglądały jeszcze śmieszniej niż zwykle.

– Naprawdę, naprawdę kiepski. Za to smaży najlepsze placki ziemniaczane pod słońcem.

I jak gdyby to ucinało dalsze dyskusje, mrugnęła żartobliwie do anioła, po czym wzięła się za parzenie kawy.

Tyle że Tsadkiel ani myślał odpuścić. Splótł ręce na szerokiej piersi i świdrując jej plecy nieustępliwym wzrokiem, warknął:

– Jakie siły nieczyste jeszcze przed nami ukrywasz, alleluja? Demona w piwnicy? Może upiora w dREWUTNI?

– Kilka demonów w lesie, jednego dojeżdżającego i paskudny charakter do kompletu – odpowiedziała ciocia Oda, nie odwracając

się w jego stronę. – Bez obaw, Tsadkielu. Nie mam już przed tobą żadnych więcej mrocznych tajemnic.

A te nocne spacerunki do lasu? – miał już zapytać Bożek, zaraz jednak ugryzł się w język, bo zrozumiał nagle, że oto przed nim rozgrywała się próba sił, od której wyniku zależało jego życie! No, może nie całe, raczej w perspektywie najbliższego tygodnia, ale tydzień pod niepodzielnymi rządami Tsadkiela to była wieczność, a nawet więcej niż wieczność, to było STRASZNIE DŁUGO! Zdecydowanie wolał spędzić ten czas pod opieką Bazyla. Fakt, małego czorta momentami trudno było zrozumieć, za to nie musieli go nawet namawiać do gry w planszówki czy innych wygłupów, co w zasadzie gwarantowało doskonałą zabawę, a nie śmiertelne nudy i ciągłe strofowanie. A racuchy usmażył takie, że niebo w gębie, i Bożka aż skręcało na myśl o tych plackach ziemniaczanych...

Ciocia tymczasem skończyła majstrować przy fajerkach i ustawiła kawiarkę na rozgrzanej płycie. Dopiero potem wróciła do rozmowy twarzą w twarz ze wzburzonym aniołem.

– Możesz mi zaufać, Tsadkielu, naprawdę – zwróciła się do niego z uśmiechem w zielonych, przekornych oczach. – Wiem, co mówię, nie tylko w kwestii pogody – dodała i skinęła głową w stronę okna.

Anioł stróż otworzył usta ze zdumienia. Choć nie tak dawno niebo było bezchmurne, teraz na zewnątrz zaczynała szaleć śnieżycą!

– Bazyl obiecał mi – ciągnęła Oda – że nie będzie ci wchodził w paradę...

– Ne bende! – wtrącił czort, wciąż w czułych objęciach Gucia.

– ...i nie będzie was prowadził w żadne niebezpieczne miejsca...

– Ne bende!

– ...i będzie bardzo grzecznym małym czortem.

– Ne bende! A ne, bende, to akurat bende. Tak. Sztanofczo!

Rzecz jasna, te zapewnienia wcale Tsadkiela nie przekonały. Jeszcze długo burczał coś o naiwnych ludzkich umysłach i czartowskim omotaniu, o ile jednak z ciocią mógł próbować dalszych dyskusji, o tyle ze śnieżycą, jaka rozpełtała się na zewnątrz, już niekoniecznie. Czy tego chciał, czy nie (a nie chciał, i to bardzo), przynajmniej przez najbliższą noc był skazany na towarzystwo Bazyla. Na jego szczęście czort sypiał w kuchni, w wiklinowym

koszu, który wzbudził tak wielkie zainteresowanie Gucia, więc przy zamkniętych drzwiach sypialni owo towarzystwo nie dokuczało mu bezpośrednio.

Rano, gdy wstali, w kuchni powitała ich sterta świeżych tostów francuskich z dżemem malinowo-jeżynowym i wielki gar gorącego kakao. Tsadkiel, z obrzydzeniem odsunawszy swój talerz z czortowskimi delicjami, poprzestał na suchej bułce, którą jadł z wymowną godnością, siedząc w najdalszym kącie. Bożek i Gucio nie mieli żadnych obiekcji i jedli, aż im się uszy (bądź macki, z braku uszu) trzęsły.

– To czo? – zagaił Bazyl, po tym jak ostatni tost zniknął w otworze gębowym. – Czo pofjecze na mały szpaczerek dla lepszego trafjenja?

Bożek łypnął na Tsadkiela. Ten aż się wyprostował na swoim miejscu i zmarszczył marmurowe czoło. Skrzydła mu drgały, szykując się do rozpostarcia na znak protestu.

– Przecież obiecałeś cioci, że nie będziesz nas nigdzie prowadzał... – zaprotestował nieśmiało chłopiec, chcąc zdusić w zarodku nadciągającą awanturę.

– Nenene. Objeczałem, sze ne bende fasz profadzał f szadne NEBESZPJECZNE mjejszcza – poprawił Bazyl. – A to mjejszcze jeszt najbeszpjeczniejsze pot szłonczem.

Kolejne łypnięcie w stronę kąta. Tym razem Tsadkiel, choć niechętnie, skinął głową. Precyzyjna pamięć podsunęła mu natychmiast, że istotnie, właśnie takie słowa padły, co do głoski. Czort mówił prawdę, a spacer na świeżym powietrzu istotnie sprzyjał dobremu trawieniu, anioł nie miał więc podstaw, żeby zaprotestować. Nawet jeśli bardzo, ale to bardzo chciał.

Bożek rozchmurzył się w okamgnieniu.

– No dobra, chodźmy więc! A co to za miejsce?

W odpowiedzi Bazyl uśmiechnął się, prezentując co do zęba swą imponującą szczękę.

– Czmentasz!

Zamknawszy za sobą drzwi, Oda z ciężkim westchnieniem ściągnęła czapkę z głowy. Chyba zbyt optymistycznie założyła, że chłopiec, czort i anioł jakoś się dogadają pod jej nieobecność. Choć w sumie... głośno to też było jakoś...

– O co chodzi tym razem? – zawołała wreszcie, usiłując przekrzyczeć podniesione głosy, które usłyszała, jeszcze zanim w ogóle weszła do środka. Chyba dopiero teraz zauważyli, że wróciła do domu, bo w pierwszej chwili zapadła cisza jak nożem uciął. A potem Bożek wybuchnął pierwszy:

– Bo on się znowu czepia!!! – Gniew wymalował żywe rumieńce na jego bladych policzkach, chabrowe oczy były jeszcze większe niż zwykle. Jeśli dodać do tego czuprynę, mienił się teraz przepięknym zestawem barw: czerwienią, bielą, niebieskością i złotem.

– Doprawdy, alleluja – prychnął na to marmurowo-ametystowy anioł stróż i zadarłszy podbródek, spojrzał na chłopca z wyższością.

– Czepianie się zakłada element irracjonalny. Emocjonalny. Chyba nie posądzasz mnie o emocje? – Z tym pytaniem zwrócił się do Ody.

– Och, nie śmiałabym... – mruknęła z przekąsem, który jednak umknął aniołowi.

– Dziękuję. Moje zastrzeżenia opierają się na czystym obiektywizmie, racjonalnej kalkulacji i logicznym uzasadnieniu.

– Wcale że nie! – wtrącił Bożek.

– Słucham zatem, Tsadkielu. Jakie masz zastrzeżenia?

Anioł odchrząknął. Odrzuciwszy w tył długie, jasne włosy, zebrał w sobie całą godność osobistą i potęgę argumentu, jaką dysponował, po czym orzekł stanowczo i nieugięcie:

– To jest czort. A czorty są złe.

– WCALE ŻE NIE!!!

– DOPRAWDY, ALLELUJA!!!

Ciocia westchnęła kolejny raz. Nie zanosilo się na to, że prędko zje zaległy obiad...

– Domowe przedszkole wszystkie dzieci kocha, choć czasem by chciało udusić je trochę... – zanuciła pod nosem dla uspokojenia własnych nerwów, po czym zawołała, uciszając ludzko-nieludzkie towarzystwo: – Dobrze, już dobrze! Zaczniemy od początku. Bazylku, co dziś robiliście?

Mały czort nie brał czynnego udziału w awanturze między chłopcem i aniołem stróżem. Nadstawiając uszu, siedział cicho w swoim koszu z wniebowziętym Guciem na plecach (i trochę na głowie) oraz Kuleczką, która przytuliła się do jego boku i mimo zamieszania spała w najlepsze. Wywołany do tablicy przez Ode, cmoknął raz i drugi.

– No fjencz zjedliszmy sznadanko – zaczął po namyśle – a potem graliszmy f poczongi, a potem zjedliszmy drugje sznadanko, a potem bafiliszmy sze f chofanego i fpadłem do garnka, ale szpokojne, zoszało jeszcze troche żupy, a potem zjedliszmy pjerfzom przekonske...

– Może bez wymieniania posiłków, dobrze? Bo znając ciebie, trochę ich było.

– Aha. Jak beż, to jeszcze graliszmy f szutki i lepiliszmy bałfana, ale głofa mu odpadła. Dfa raży. No i poszliszmy na króczutki szpaczer.

Kątem oka Oda dostrzegła triumfalną minę anioła. A zatem tu był pies pogrzebany! Zapytała więc, wciąż tym samym tonem:

– A dokąd poszliście, Bazylku?

– No na czmentasz, a czo?

– On jeszcze pyta! – zakrzyknął Tsadkiel i z tymi słowami dramatycznym gestem wyrzucił ręce ponad głowę, trafiając dokładnie w cebulowy wieniec, który nad nim wisiał. Złociste łupiny bardzo niedramatycznie posypały się na anioła.

– Całkiem słusznie pyta – odrzekła na to ciocia Oda, próbując się nie roześmiać. – Zapewniam, że dla tak... wyjątkowego dziecka jak Bożek ten cmentarz to najbezpieczniejsze miejsce na świecie. Nic mu tam nie grozi, wprost przeciwnie. No, tobie akurat grozi nieco więcej, po części z powodu twojej natury, po części zaś charakteru, ale jesteś dużym i silnym aniołem. Poradzisz sobie nawet z widmem ludzkiej śmiertelności.

– Doprawdy, alleluja. Zacznijmy może od grasującej w lesie dzikiej zwierzyny...

– Ach, te jeże i wiewiórki... O tej porze roku są wyjątkowo krwiożercze. No i jeszcze Bazyl, ale on grasuje czysto rekreacyjnie.

– ...bakterii gnilnych...

– Tak, tak, zwłaszcza przy minus dziesięciu stopniach w dzień i minus siedemnastu w nocy.

– ...a zakończmy na zagrożeniach ze strony terenu!

– Niech zgadnę. Uderzyłeś małym paluszkiem o zaśnieżony nagrobek?

Anioł umilkł na parę wymownych sekund. Bardzo, bardzo wymownych.

– Być może – wydusił w końcu.

– Wystarczy posmarować kremem Nivea i podmuchać czy konieczny będzie też plasterek...?

– Nie pojmuję, jak możesz żyć z tym stworzeniem pod jednym dachem!

Oda zaśmiała się krótko.

– Niewiele o mnie wiesz, aniele. – Przechyliła głowę. W jej oczach błysnęły przekorne iskierki. – Ja natomiast nie pojmuję, dlaczego po prostu nie możesz być ponad to? Dlaczego nie zaciśniesz zębów i dla dobra dziecka, które chciałoby miło spędzić ferie, po prostu nie pogodzisz się, że czort tu był, jest i będzie?

– Bo w życiu są pewne zasady, których trzeba przestrzegać bez względu na wszystko – odparł stanowczo.

– Oczywiście, masz rację – zgodziła się Oda. – W moim świecie te zasady brzmią następująco: bronić słabszych, myć ręce przed jedzeniem i nie leczyć infekcji wirusowych antybiotykami. Cała reszta to rzecz względna.

– Jak możesz tak mówić?! Przecież jesteś lekarzem, alleluja!

– Zapewne właśnie dlatego, alleluja. Umiem spojrzeć szerzej. No już, nie naburmuszaj się tak. Gdybym chciała, żebyście nie wyściubiali nosa za drzwi, wtedy istotnie, byłbyś doskonałym... opiekunem. Nie znalazłabym lepszego. Na moje oko Bazyl świetnie się o was troszczy. Karmi z zapałem, zabawia w domu, zabawia poza domem i... – Urwała, jak gdyby porażona nagłym olśnieniem.

– Och, a niech mnie... Tobie chodzi o to, że Bazyl ci wchodzi w kompetencje. Że czort jest dla Bożka lepszym stróżem niż ty, anioł.

– Wypraszam sobie!

– Och, Tsadkielu, Tsadkielu... – Ciocia pokręciła głową, uśmiechając się do niego ciepło. – Ty jesteś po prostu zazdrosny.

– JA?! O tego stwora, tę poczwagę, bestię z piekła rodem, o tego... tego pokurcza?!

– O, przepraszam. F szkali czortofszkiej jesztem fszrosztu czo najmnej szrednego!

– Przecież zazdrość to nic złego – zauważyła ciocia. – Każdy czasem komuś czegoś zazdrości.

– Nie ja! – odparował anioł. – Zazdrość pcha do czynów niegodnych.

– Nie myl zazdrości z zawiścią. Zawiść, owszem, potrafi pchnąć do złego. Ale zazdrość potrafi pchnąć do przodu.

I pewnie koniec końców ciocia udałoby się przemówić Tsadkielowi do rozsądku. Pewnie przekonałaby go, żeby dla dobra dziecka wzniósł się ponad uprzedzenia i charakter, gdyż tak właśnie aniołowie powinni czynić. Och, tak. Mówiła i tłumaczyła, uspokajała i prosiła, a on słuchał jej głosu, słuchał jej słów, zapatrzony w przekorne zielone oczy o kształcie migdałów, które zdawały się rzucać na niego niepojęty czar, a jego czoło, dotąd ściągnięte gniewem, wygładzało się coraz bardziej.

Ale wtedy w Bożka coś wstąpiło, coś, czego potem bardzo się wstydził. I nie stała za tym żadna siła nieczysta, żaden diabelski podszept – wyłącznie on sam. A przecież pamiętał, jak urażone i zagubione poczuło się Licho, gdy usłyszało te słowa, a przecież wiedział, że Tsadkiel zareaguje o wiele, wiele gwałtowniej. Mimo to otworzył usta i wypalił czym prędzej, zanim zdążyło mu przyjść do głowy, że to nie najlepszy pomysł:

– Ciociu, a wujek Konrad to mówił, że anioł stróż to tak naprawdę taki rodzaj domowego demona! I że w gruncie rzeczy niczym się od siebie nie różnią. Czyli Tsadkiel i Bazyl to tacy jakby kuzyni. Tylko Bazyl jest lepszy.

Słyszając to, Oda zaniemówiła, Bazyl rozdziawił paszczę, a Gucio prawie popuścił atramentowego kleksa.

Anioła zaś jakby grom poraził.

– Odwołaj to! – wyszeptał pobladłymi ustami, gdy zdołał się otrząsnąć z pierwszego zaskoczenia.

– Sam się odwołaj! – odpyskował Bożek, chociaż widział, że anielskie skrzydła, śnieżnobiałe i wielkie, drgały coraz mocniej i mocniej, a w ametystowych oczach ból i niedowierzanie mieszały się z gniewem.

– ODWOŁAJ! – Słowo poniosło się po domu, wprawiając w drżenie każdą szklanke, każdą szybę i każde serce.

Każde z wyjątkiem jednego.

– NIE.

Tej nocy Bożek nie spał najlepiej. Najpierw bardzo długo leżał z zaciśniętymi powiekami i nasłuchiwał dźwięków, które dobiegały zza ściany. Niskiego głosu cioci i jej miękkich kroków, gdy kręciła się po kuchni, szeleszczącego terkotu czorta i rytmicznego stukotu kopytek na drewnianej podłodze, z jakim dreptał w tę i z powrotem. Stuk-stuk-stuk. Stuk-stuk-stuk. Stuk-stuk-stuk... Aż w końcu, nie wiedzieć jak i kiedy, bladozielona łza, którą wsunął sobie pod poduszkę, przyniosła mu kojący, czuły szept z zaświatów. Chłopiec zapadł w głęboki sen.

Był środek nocy, kiedy obudził go głośny szelest.

Gdzieś blisko.

Zdjęty strachem Bożek ani drgnął, zakopany w pościeli, tylko otworzył oczy. Wyteżał wzrok, próbując dostrzec cokolwiek w nieprzeniknionej ciemności, która go otaczała. Czy ten szelest mu się przyśnił, czy naprawdę rozległ się tuż obok?

Naraz jego uszu dobiegł czyjś ciężki, urywany oddech.

W pierwszej chwili chłopiec pomyślał, że to pewnie Gucio. Ilekroć mały potwór się przejadł (czyli co najmniej raz w tygodniu), przez całą noc męczył go potem brzuszkiem i nie dawał mu spokojnie spać, tylko dręczył go koszmarami o kredkach niezdatnych do spożycia albo, o zgrozo, flamastrach o smaku brukselki z boczkiem. Gucio stękał wtedy, sapał i przez sen przewalał się pod łóżkiem niczym spienione bałwany w trakcie sztormu – no, tyle że z zestawem macek. Ale nie, to nie mógł być on. No bo przecież macki nie szeleszczą ani...

ZNÓW! Wyraźny szelest i równie wyraźny ruch gdzieś tam, przed nim, w ciemności. Bożek zastygł jeszcze bardziej, próbując nawet nie oddychać, i tylko serce, zdradzieckie serce zadudniło mu jak oszalałe. A na dodatek strasznie, ale to strasznie chciało mu się pić.

Cisza, zapadłszy ponownie, trwała i trwała w najlepsze. Po chwili Bożek odważył się wsunąć palce pod poduszkę, wymacał łzę i zacisnął ją w dłoni. I w tej samej chwili przyszło opamiętanie. Wypuścił powietrze z płuc. Czego on się w zasadzie bał? Duchów? Potworów? Zjaw czyhających w mroku? Przecież dorastał w domu PEŁNYM duchów i innych nadnaturalnych istot, a pod jego łóżkiem mieszkał najprawdziwszy potwór, nie wspominając już o tym drugim, dużo, dużo, DUŻO większym, który codziennie szykował mu kanapki do szkoły. No i sam był widmem, co prawda w połowie, ale jednak, więc... więc dlaczego w zasadzie miały się bać?

Usiadł na łóżku. Dopiero z tej pozycji dostrzegł blade światło, które wciskało się szczeliną między progiem a drzwiami. Najwyraźniej nie on jeden nie spał tej nocy. Naraz równie mocno co pić zachciało mu się towarzystwa. Wobec tego Bożek zgramolił się z łóżka i na paluszkach wymknął z sypialni.

Tylko jedna lampa, ta przy samym wejściu, świeciła słabym blaskiem, pozostałe były wyłączone. Spomiędzy koców, które kłębiły się w wiklinowym koszu poniżej, sterczała kudłata nóżka z czortowskim kopytkiem. Mniej więcej z okolic dna dobiegało miarowe pochrapywanie. Nieopodal nóżki, nad krawędzią kosza, zwisał swobodnie psi ogonek. A zatem nie tylko Bazyl odpłynął w sen, Kuleczka również spała w najlepsze.

Kawałek dalej, dosunięta do szafki, stała złożona kanadyjka, na której sypiała ciocia Oda. Ale samej cioci nigdzie nie widział, chociaż musiało być naprawdę późno. Dziwne.

Bożek rozejrzał się po kuchni. Najdalsze kąty spowijał cień, mimo to chłopiec bez trudu wyłowił w jednym z nich wysoką postać, odwróconą do niego plecami.

– Ciociu, bo mi zachciało się pić i... – zaczął się tłumaczyć i niemal natychmiast urwał.

Bo to na pewno nie była ciocia Oda.

Przecież ciocia Oda nie miała takich rogów.



Dopiero gdy Bożek plecami dotknął ściany, uświadomił sobie, że w ogóle się cofał. I że nie ma dokąd uciekać.

Tymczasem postać, jakby w odpowiedzi na jego ruch, pomału wyłoniła się w cieniu. Musiała się pochylić, żeby nie zahaczyć przy tym rogami o jedną ze stropowych belek. A miała czym zahaczać,

bez wątpienia. Pierwsza para rogów, imponująco długich i skręconych prawie jak sprężyna, łukiem opadała jej daleko na plecy. Nad czołem zadziornie sterczały dwa kolejne, krótsze i bardziej praktyczne, z czego jeden był ułamany mniej więcej w połowie. Ale dopiero gdy postać zatrzymała się pośrodku kuchni, mogła się wyprostować swobodnie i wtedy do Bożka dotarło, że nawet bez tych rogów była naprawdę potężna. I naprawdę nieludzka. Gęsta grzywa z czarnych piór opadała na jej masywną pierś i plecy. Okalała przy tym twarz o wysokich kościach policzkowych, szerokim, płaskim nosie i trójkątnym podbródku, z której spoglądały oczy jak dwie bezdenne studnie. Nie miały tęczówek ani białek, tylko same źrenice i wydawały się całkiem matowe, pozbawione choćby odrobiny połysku. Lecz gdy postać przechyliła delikatnie głowę, mierzając chłopca uważnym spojrzeniem, opalizowały jak kałuża benzyny w blasku słońca. I twarz, i całe jej ciało pokrywała skóra podobna do węzowej, czarna i równie matowa jak oczy. Znaczyły ją liczne blizny, z których cztery największe, najstraszniejsze przecinały udo. Muskularne nogi zakończone były parą rozdwojonych kopyt, a długie palce u dłoni wieńczyły szpony.

To już nie był miły potwór spod łóżka ani nawet miły potwór z piwnicy, chwilowo bardzo zły, że ktoś mu wyjadł ostatnie maliny z zamrażarki i co on teraz doda do tarty. Bożek nie miał już żadnych wątpliwości, że patrzy na prawdziwego drapieżnika. I że ten drapieżnik, jeśli tylko zechce, w mgnieniu oka schrupie go na późną nocną przekąskę.

Przełknął ślinę, nieustannie czując na sobie uważny wzrok stworzenia. Aż naraz usta bez warg (jak u węża, jak u węża, JAK U WĘŻA!!!) rozchyliły się.

– Proszę, proszę... – odezwało się stworzenie niskim, dudniącym głosem, w którym pobrzmiwał dziwnie ptasi trel, a czarna, szponiasta dłoń pomaha wyciągnęła się w stronę chłopca.

Bożek nie zdążył choćby mrugnąć, gdy znowu usłyszał szelest, identyczny jak ten, który go obudził przed momentem. Tym razem jednak nie miał żadnych problemów z ustaleniem, co go wydawało. Bo oto jak spod ziemi między nim a rogatym stworzeniem wyrosła

jaśniejąca sylwetka Tsadkiela, wspaniałego, posągowego i rozjuszonego jak nigdy. Skrzydła rozpostarły się na całą szerokość, szorując o ściany, i anioł ruszył do ataku.

Wyrwana ze snu Kuleczka ujadła przeraźliwie, Bazyl coś kwiczał, usiłując się wyplątać z koców, a Gucio to bulgotał, to ryczał, młóćąc mackami powietrze, jak gdyby chciał dołączyć do walczących, tylko nie wiedział jak. Jedynie Bożek całkowicie oniemiał i zastygł z przerażenia, plecami przyklejony do ściany, a biel i czern, splecione w uścisku, migają mu przed oczami, w lewo, w prawo, raz po raz. A wyobraźnia (która zawsze podsuwa dzieciom najstraszniejsze pomysły wtedy, kiedy dzieci wcale ich nie potrzebują, na przykład tuż przed snem albo niezapowiedzianą kartkówką z matematyki) już mu prezentowała, z jaką łatwością drapieżne szpony mogą wbić się w anielskie ciało.

Tyle że... one wcale się nigdzie wbijać nie zamierzały, chociaż nic nie stało im na przeszkodzie. Wprost przeciwnie. Gdyby Bożek mógł oniemiać jeszcze bardziej, właśnie to by zrobił, bo nagle zrozumiał, że to przedziwne rogate stworzenie próbowało za wszelką cenę nie wyrządzić aniołowi żadnej krzywdy. Chciało się tylko uwolnić.

A potem sprawy potoczyły się jeszcze szybciej.

Drzwi frontowe otworzyły się z impetem, zasłaniając Bożkowi widok na kuchnię (i prawie rozkwaszając mu nos). Rozległ się przeraźliwy wizg, jak gdyby do domu wpadło tornado, po nim brzęk, krzyk i huk, ogłuszający, straszliwy HUK.

Po czym zapadła absolutna cisza.

Na wszelki wypadek odczekawszy kilka oddechów, chłopiec wychynął zza drzwi.

Rogate stworzenie klęczało, łapiąc oddech. Z lewego nozdrza pomału spływała mu strużka ciemnej, gęstej krwi. Tsadkiel leżał na podłodze, wciśnięty między stół, ławę a przeciwległą ścianę. Na jego alabastrowym obliczu malowało się bezbrzeżne zdumienie. Pośrodku kuchni zaś stała ciocia Oda z polanami pod pachą, jaśniejąca niezrozumiałym wewnętrznym blaskiem – i zła jak osa. Jak całe gniazdo os.

I to chyba było NAJSTRASZNIEJSZE.

Słyszając za sobą poruszenie, ciocia obejrzała się. Brwi miała ściągnięte, a twarz poblądła tak, że czerwone znamię przypominało teraz plamkę krwi. Zielone oczy iskrzyły się gniewem, lecz na widok chłopca przygasły odrobinę.

– Nic ci nie jest? – zapytała krótko.

Bożek bardzo energicznie pokręcił głową, że nie, nic a nic i ciocia wcale nie musi tak na niego patrzeć. Nadal nie umiał wydusić z siebie ani słowa, nie mówiąc już o zrozumieniu, co tu się w ogóle stało. Kim... lub czym było to stworzenie, na które natknął się w samym środku nocy? I co to za wizg sprawił, że anioł stróż z wyraźnym trudem zbierał się teraz z podłogi?

Tymczasem ciocia odłożyła polana i stanęła nad Tsadkielem. Zmierzyła go twardym spojrzeniem.

– W tym domu – zaczęła – nikt na nikogo ręki nie podnosi.

– Przecież to...

– Powiedziałam NIKT! – huknęła, nie pozwalając mu dokończyć. – Ani człowiek, ani anioł, ani demon. Absolutnie NIKT. A kto spróbuje, ten będzie miał ze mną do czynienia. Zrozumiano? – zapytała, po czym zerknęła przez ramię na rogate stworzenie. – Ossa?

Niespiesznym gestem starło spod nosa krew.

– Tak – odparło wreszcie. – Zrozumiano.

Z rumorem odsunąwszy drewnianą ławę, Tsadkiel w końcu wy dostał się z pułapki i stanął przed ciocią. Włosy miał w nieładzie, pióra na skrzydłach nastroszone, guza rozkwitającego już na czole i ogień świętego oburzenia w ametystowych oczach.

– Doprawdy, alleluja! Przecież to demon! – zakrzyknął ze złością.

– Oraz gość w moim domu. Tak samo jak ty, Tsadkielu – zauważyła Oda nieugięcie. – A do tego pacjentka, która wymaga opatrzenia, i przyjaciółka, której wiele zawdzięczam, czego o tobie już, niestety, powiedzieć nie mogę.

Dopiero teraz, gdy minęło pierwsze zaskoczenie, Bożek dostrzegł na stole apteczkę i rolki bandażu w różnych kolorach i rozmiarach. Przyjrzał się z zaciekawieniem rogatemu stworzeniu. Chyba rzeczywiście wymagało pomocy, bo gdy tak stało, przysłuchując się

rozmowie, wyraźnie starało się oszczędzać prawą nogę, sztywną i opuchniętą w okolicach kostki.

Aniołowi na moment odebrało mowę.

– Więc to twoja sprawka...? – wydusił wreszcie. – To ty sprowadziłaś to... to... COŚ do tego domu?!

– To COŚ, jak raczyłeś to ująć, trzymało się od tego domu z daleka wyłącznie przez wzgląd na ciebie i...

– Zbytek łaski! – fuknął Tsadkiel.

– Też tak uważam – warknęła Ossa. – Zamiast spotykać się po nocach w krypcie, trzeba go było na dzień dobry oskubać z pierza. Siedziałyby cicho jak mysz pod miotłą, a my mogłybyśmy w spokoju napić się herbaty.

Oda westchnęła i gdyby Tsadkiel nadstawił czujniej ucha, dosłyszałyby w tym westchnieniu przewrotny śmiech. Tyle że Tsadkiela całkowicie pochłonęło oburzenie, które na powrót w nim wezbrało. Już się nastroszył, już gromił demona ametystowym wzrokiem i szykował do starcia.

W odpowiedzi Ossa bez pośpiechu pochyliła rogaty łeb. Czekwała.

Wtedy na drodze nieoczekiwanie stanął im Bazyl, buntowniczo majtając kocykiem.

– O, nenenenene – zaterkotał – pjerze precz od mojej mamuszi! Szat! Szat, mójje! – krzyknął i tupnął kopytkiem. – Nedobry anjoł!

– Ma... mamusi...? – powtórzył Tsadkiel, ze zdumieniem patrząc to na przysadzistego czorta z wadą zgryzu, to na drapieźnego demona, który po namyśle dokuśtykał do drugiej ławy, gdzie przysiadł i teraz leniwie wygładzał swój pierzasty kołnierz, jak gdyby miał w nosie tę całą rozmowę.

– A czo myszłałesz, że czorty szpadajom ż dżżef? A gdzie niby mjałbym ftedy peszteczke? Ne, chyba ne chce fjedżecz... – Co rzekłszy, czort podreptał do swojej mamusi i wdrapawszy się jej na kolana, westchnął z lubością. Mamusia podrapała go za uszkiem.

– To... ta... ona zaatakowała Bożka!

Demon tylko prychnął drwiąco, a wzmiankowanego Bożka w końcu odetkało.

– Wcale że nie! – zaprotestował, odrywając się od ściany. Pociągnął ciocię za rękaw. – Nawet mnie nie dotknęła, przysięgam!

Ciocia Oda w zamyśleniu skinęła głową na znak, że mu wierzy.

– Tsadkielu, posłuchaj. Ossa na co dzień mieszka na pobliskim cmentarzu. Strzeże spokoju zmarłych, spokoju ludzkich dusz – wyjaśniła spokojniejszym tonem. Już tak nie jaśniała, gniewne iskry w jej oczach też zgasły i znów wyglądała jak ciepła, kochana ciocia. – A Bożek jest w połowie taką właśnie duszą. Więc komu jak komu, ale akurat jemu w żaden sposób Ossa nie zagraża, wprost przeciwnie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie go bronić, tak jak kiedyś obroniła mnie.

Bożek rozdziawił usta ze zdumienia, bo przy tych ostatnich słowach ciocia wyraźnie rzuciła okiem na ułamany róg demona. O RANY! W ułamku sekundy miał już na końcu języka dziesiątki pytań – a jak to się stało? A gdzie to się stało, a kiedy, a dlaczego, a czy to bolało, a czy to była pułapka, a może bitwa, taka prawdziwa?

A przede wszystkim... kim w zasadzie była ciocia Oda? Bo coś mu tu nie pasowało coraz bardziej do obrazka, coraz głośniej mówiło, że chyba nie każdy lekarz zaprasza do siebie aniołów i potwory na ferie, mieszka z czortem i przyjaźni się z demonami, które odwiedza po nocach na cmentarzu, żeby się napić herbaty (HERBATY!!!), i na dodatek opatruje im rany...

– Zresztą z tego, co mi wiadomo – dodała tymczasem ciocia – od małych dzieci Ossa zdecydowanie woli pierniczki, więc...

– Za to czeby mogłaby nafet pożrecz, gdyby chciała, Zadkelu – wtrącił Bazyl tym samym tonem, jakim dzieci zwykle przechwalają się, czyj tatuś jest wyższy albo ma większy samochód. – Tylko że ne pszepada za drobjem. Ale mogłaby, fjesz?

Czy sprawiła to milcząca obecność Ossy, czy też miarka się przebrała, tak czy owak tym razem czar Ody nie zadziałał. Anioł trwał przy swoim, niewzruszony niczym kamień, z którego, jak się wydawało, był stworzony.

– Są pewne zasady – powiedział cicho, tak cicho, że Bożkowi zimne dreszcze przebiegły po plecach. – Jest dobro i jest zło. Nie można być trochę dobrym ani trochę złym.

– Można – odparła ciocia z żartobliwym uśmiechem. – Wystarczy być człowiekiem.

– Ale JA nie jestem człowiekiem, alleluja! JA jestem aniołem. Zniosę jakoś czorta, lecz za nic nie pozostanę w domu, w którym gości się demona. – Z godnością zadarł głowę i spojrzał w zielone oczy Ody. – Albo ona, albo ja.

Ciocia wytrzymała jego wzrok.

– Udam, że tego nie słyszałam, Tsadkielu – rzekła łagodnie, choć z wyraźnym smutkiem. – Dobrze? Ty nic nie powiedziałeś, a ja nic nie słyszałam.

– Nie ucieknę się do kłamstw. Jak ty.

– Zapytałeś, co jeszcze ukrywam, a ja odpowiedziałam. Kilka demonów w lesie. Oto jeden z nich. Nie słuchałeś, Tsadkielu, a teraz...

– Dość pustych słów. Albo ona, albo ja – powtórzył nieugięcie, nie pozwalając Odzie dokończyć.

– Bożku...? – Chłopiec usłyszał nad sobą nagłący szept i podniósł głowę. Ciocia czekała. Czekala, aż on coś powie, przekona jakoś anioła, żeby nie był taki głupi, taki uparty, żeby... nie był takim sobą.

Lecz ta złość, która wieczorem chwyciła serce chłopca w swe łapy, nie pozwalając mu zadrzeć współczuciem, nadal nie zwalniała uścisku. Bożek wzruszył ramionami.

– To nie mój anioł. Niech sobie robi, co chce.

Chwilę później strzelista sylwetka anioła stróża zniknęła pośród śniegu i nocy.



– Rano wróci, zobaczysz – szepnęła ciocia na pocieszenie, kiedy odprowadziła Bożka do łóżka, Gucia zaś pod łóżko. Jak gdyby potrzebował pocieszenia, jak gdyby w ogóle go to obchodziło! Owinął się kołdrą po same uszy i zacisnął powieki, żeby odciąć się

od wszystkiego, z własnymi myślami włącznie. Bo nie były to zbyt miłe myśli.

Ale następnego ranka Tsadkiel nie wrócił.

Ani następnego.

I tego następniejszego też nie.

Każdego dnia po pracy ciocia brała Kuleczkę na długi spacer po lesie i nawoływała anioła, wypatrywała go pośród drzew. Bezskutecznie.

– Wróci – powtarzała niczym słowa zaklęcia, kolejny raz wracając z niczym. Niepokoiła się coraz bardziej, ale co jeszcze mogła zrobić? Chyba tylko liczyć, że koniec końców anioł sam zapuka do drzwi – choćby nawet dumny i obrażony, ale cały i zdrowy – zanim przyjedzie mama, żeby zabrać ich trójkę z powrotem do domu.

– Wróci – powtarzała Ossa z niezachwianą pewnością, ilekroć przyszli do niej na stary cmentarz, żeby zapytać, czy widziała gdzieś nieugiętego anioła lub wyczuwała jego majestatyczną obecność. Niestety, nie był duchem, nie umiała go więc wytropić. – Zmarznie, to wróci.

Lecz Tsadkiel wciąż nie wracał, chociaż z pewnością zdążył już zmarznąć na kość. I to ze trzy razy.

Tymczasem w domu zrobiło się jakoś tak markotno, chociaż po raz pierwszy, odkąd zaczęły się ferie, nikt nie marudził, nie zrzędził, nie czepiał się byle drobiazgu, więc teoretycznie mogli się bawić na całego i niczym nie przejmować. A jednak nie robili nic innego, tylko się przejmowali. Ciocia narzucała kurtkę i niby to szła po drewno na opał, bo się skończyło, a potem przez kwadrans stała na polanie z drwami w objęciach, zapatrzona w ciemną ścianę lasu. Kuleczka, której wyborny węch zdawał się na nic wobec świeżego śniegu, po każdym spacerze z podkulonym ogonem zakopywała się w posłaniu i wzdychała ciężko. Również Gucio smętnie przysysał się do okna, wypatrując znajomej skrzydlatej postaci.

Rekord zmartwienia należał jednak do małego czorta.

– Pszczesz tam jeszt żymno! – biadolił co rusz, załamując ręce. Na przemian albo smażył kilogramy placków, albo dreptał nerwowo, wydeptując kółeczko w drewnianej podłodze. – Jeszt

żymno, a on ne ma czeplých majtek! Ani kanapek! A jezli czosz go źjadło? Pszczesz on nafet ne źabrał szaliczka!!!

Bożek, który właśnie jadł obiad w kącie pod oknem, w pewnym momencie już nie wytrzymał.

– Rzeczywiście, wielkie mi coś – odburknął Bazylowi ze złością między jednym kęsem a drugim. – Biedny Tsadkiel nie wraca! Ranki i wieczory we łzach go czekam i trwodze, rozlały rzeki, pełne zwierza bory i pełno zbójców na drodze. Doprawdy, alle...

Urwał. Coś go nagle ukłuło, coś nad wyraz nieprzyjemnego, w bliżej nieokreślonym miejscu, a jednak bardzo wyraźnie. Najpierw pomyślał, że to może coś z brzuchem, i łypnął podejrzliwie na talerz. Ale nie, przecież trzynaście i pół ruskiego pieroga ze śmietaną nie mogło mu zaszkodzić. Więc co takiego? Może bóle wzrostowe, może się nadwerekzył, a może za szybko jadł, nałykał się powietrza i teraz ma za swoje, wujaszek Turu zawsze mu powtarzał, żeby...

Westchnął. Kochany wujaszek powtarzał mu wiele rzeczy. Na przykład, że łatwiej kijek pocieniować, niż go potem pogrubasić. Albo że doczeka świeczka wieczoru. Albo że jak trza, to trza i nie ma, że boli, bratku.

No więc teraz właśnie było trza. I to bardzo.

Bożek wpakował ostatnie pół pieroga do ust (bo nigdy nie wiadomo, czy nie będzie to krytyczne pół pieroga, które uratuje mu życie), odniósł naczynia do zlewu i zanim zdążył zmienić zdanie, oświadczył głośno:

– Idę go szukać.

– Czo...? – Mały czort z wrażenia aż się zatrzymał i łypał teraz na chłopca oczami jak dwa bardzo zdumione paciorki.

– Idę szukać Tsadkiela.

– Ale... ale... dlaczego?

W pierwszym odruchu chłopiec już chciał się nadać.

– Bo mnie sumienie kłuje – przyznał niechętnie. Nawet bardzo niechętnie, ale cóż, taka właśnie była prawda.

– A f czo?

– W sedno mego jestestwa – odparł Bożek z emfazą, po czym sięgnął po swoje śniegowce. – A to bardzo wrażliwe miejsce jest.

Bazyl w zamyśleniu podrapał się po zadku.

– No, fakt... Odzinka jusz go szukała. Moja mamusza tesz. I ne znalazły.

– A ja go znajdě.

– Czemu?

– No bo to mój anioł.

– Tfój? – Czort zmrużył oczka, starając się zrobić minę wielce szczwaną. Wyszło mu coś między zezem a bólem zęba. – A podobno ne tfój, fjencz szkont ta nagła źmjana, czooo...?

– Naprawdę muszę mówić? – jęknął chłopiec. Szeroki uśmiech na paszczy czorta nie pozostawiał żadnych wątpliwości, jak brzmiała odpowiedź na to pytanie. – No dobra, dobra... Bo widzisz, mój wujaszek Turu, jak go Tsadkiel naprawdę zezłości, to mówi na niego Zadkiel. A czasem... No wiesz. Pupkiel. Tylko BARDZIEJ.

– OCH...!

– No. Ale... ale tym razem to chyba ja zachowywałem się jak Pupkiel. I teraz muszę to jakoś naprawić, rozumiesz? A nie naprawię, jeśli go nie znajdziemy. Więc jak chcesz iść ze mną, to wskakuj szybko w... to, w co zwykle wskakują czorty, kiedy jest zimno i śnieg.

Ubrawszy się tak ciepło, że nawet zaginiony anioł nie mógłby się do niczego przyczepić, chłopiec i czort zostawili zrozpaczonego Gucia w domu razem z Kuleczką (oraz zapasem placków) i wyruszyli na poszukiwania.

Nocą chwycił siarczysty mróz i teraz mogli stąpać po śniegu, nie zapadając się w nim co krok czy dwa. Świeże, drobne płatki prószyły delikatnie z nieba, wiatr, który jeszcze wczorajszego wieczoru dawał się mocno we znaki, wreszcie ustał. Pogoda sprzyjała wyprawom w znane i nieznanne.

Jeszcze zanim opuścili polanę, na której stał dom cioci, Bazyl przystanął i machnął łapką mniej więcej tam, gdzie w głębi lasu krył się stary cmentarz.

– To czo, idźemy najperf po mamusze?

– Nie.

– Ne...?

– Nie – powtórzył Bożek stanowczo. – Słuchaj, twoja mamusia jest bombowa i rogata, i w ogóle, ale ma teraz chorą nogę, no i nie umie wyczuć Tsadkiela. Za to Tsadkiel zaraz wyczuje ją. No wiesz, złooo, złooo, olaboga, złooo!

– Żłooo, żłooo... – powtórzył machinalnie czort. Nie wyglądał jednak na przekonanego, choć trzeba przyznać, że dość trudno to było jednoznacznie ocenić. Oprócz sweterka w norweskie wzory, bardzo grubego, bardzo ciepłego i bardzo utrudniającego poruszanie górnymi kończynami, Bazyl przyodział się również w wielką czapę i na koniec okrzykiem szaliczką. Gdzieś spomiędzy warstw wyzierały same oczka. Czort przypominał teraz ogromny motek wełny z pomponem, tuptający na włochatych nóżkach. – Żło to sze zaczął, jak fróczy Odzinka i przetszepje nam ogonki... Może jednak chodźmy po mamusze, ja mam bardzo fraszlify ogonek.

– Wystarczy, że się szybko uwiniemy i wrócimy do domu pierwsi – stwierdził Bożek rezolutnie. Rozejrzał się. – Wiesz może, gdzie ciocia i twoja mama już szukały?

Zza szaliczka dobiegła seria cmoknięć. Bazyl się namyślał.

– Tam. – Wskazał łapką, po czym obrócił się niczym fryga. – I tam. I tam. I tam. I tam. I tam...

– Dobra, zaczekaj, zaczekaj!

– ...i tam, i... och. Fybach.

– To może zapytam inaczej. Gdzie go NIE szukały?

– A. To tam. – Obrócił się raz jeszcze i wskazał ciemny, gęsty las za domem cioci. – Tylko tam.

– Dlaczego?

Spowity wełną czort zamrugał. Bardzo zamrugał, aż Bożka przeszył dreszcz podekscytowania. Tajemnica, jak nic!

– No? Dlaczego? – powtórzył.

– Booo... tam ne folno...? – wydusił wreszcie Bazyl, jakoś tak bez przekonania.

– Dlaczego?

– Bo... bo ne?

– To idziemy tam – zdecydował Bożek.

– Och, nenene! – zaterkotał czort, ni to pędząc, ni to turlając się w ślad za chłopcem, który już zmierzał w stronę linii drzew. –

Odżinka sze żeżłoszczy! Odżinka jeszt SZTRASZNA, kjedy sze żeżłoszczy... Ma ftedy te sfoje, no... fjatory...! Sztraszne, sztraszne fjatory.

Bożek wytrzeszczył oczy. Spodziewał się Tajemnicy, może nawet Tajemnicy Nieco Straszliwej i Mrocznej, ale... ale na pewno nie AŻ TAK!

Odchrząknął.

– Chodzi ci o to, że ciocia puszcza bąki...?

Teraz przysłała kolej Bazyla na wytrzeszcz i konsternację.

– Eee... to ty... ty ne fjesz...?

– O czym?

– O niczym – odparował w ułamku sekundy czort. – Ja nycz ne fjem, nycz a nycz. No czo tak sztojisz, idźemy, rasz-rasz!

– Ale tam podobno nie wolno! – zawołał chłopiec w ślad za szybko oddalającą się wełnianą kulą.

– Pjerfsze szłyszę!!!

Szli przed siebie na tyle długo, że Bożka zaczęły trochę boleć nogi. A im bardziej zagłębiali się w las, tym większy niepokój malował się na paszczy czorta, co prawdopodobnie znaczyło, że szli w dobrym kierunku, czyli dokładnie tam, gdzie chodzić nie było wolno pod żadnym pozorem. Nadal nie rozumiał dlaczego. Owszem, od tej strony polany drzewa zdawały się rosnać jakby gęściej, zasy py zaś sięgać wyżej niż gdzie indziej – chociaż chłopiec dałby głowę, że trzymali się jakiejś ścieżki, wiosną czy latem zapewne dość szerokiej, a teraz zakopanej głęboko pod śniegiem. Ale nie było w tym przecież nic szczególnie straszego, prawda?

W końcu przed nimi, kilkadziesiąt metrów dalej, zamajaczył prześwit. Za drzewami rozlewała się oślepiająca plama bieli, od której aż łzy napływały do oczu. A to oznaczało śnieg, mnóstwo śniegu na otwartej przestrzeni.



– Czy to jakaś polana? – zdziwił się Bożek. Nie czekając na odpowiedź, natychmiast przyspieszył kroku. – Tak, to polana! No chodź, Bazylu, chodź! Może tam coś znajdziemy!

– Och... sz pefnoszczom – wydyszał czort. – Ale ja bym... sze tak... ne szpeszył...

Miał zdecydowanie za krótkie nóżki i zdecydowanie za dużo warstw odzieży.

Bożek go nie dosłyszał, ponieważ biegł ile sił w kierunku polany. Jeszcze tylko kilka metrów, kilka susów, kilka sapnięć i już, już wypadł spomiędzy drzew – i stanął jak wryty. Gdyż oto przed nim rozpościerała się połać śniegu, która otaczała skutą lodem, duży staw. A pośrodku tego stawu...

Och...

Pośrodku tego stawu ujrzał Tsadkiela.

Anielskie ręce wyciągały się ku górze, jak gdyby szukały czegoś, czego mogłyby się uchwycić. Uniesiona twarz, jak nigdy podobna do posągu wykutego w marmurze, z bolesną tęsknotą spoglądała w niebo, skrzydła rozpościerały się, żeby wziąć choć jeden potężny zamach. Anioł stróż próbował wzbić się w powietrze, żeby umknąć przed bezlitosnym lodem, zanim ten go pochwyci.

Na próżno. Nie zdążył.

– Tsadkielu...? – wyszeptał chłopiec. Niewyobrażalny strach ścisnął go za gardło, za serce, zamglił oczy łzami. – TSADKIELU!!! – krzyknął i bez namysłu rzucił się na ratunek aniołowi.

– NE NA LÓT!!! – wrzasnął Bazyl, widząc, co się święci. W ostatniej chwili złapał chłopca za skraj kurtki i szarpnięciem sprowadził z powrotem na stały ląd. – Ne folno fchodzicz na lót!!!

– Przecież jest gruby i...

– NE! – Czortowskie kopytko tupnęło stanowczo. – Nygdy ne folno fchodzicz na lót! Chodź, tam dalej jeszt czypel, sztamtont go doszengnemy.

– Czo... co jest?

– Czypel!

– Co...?

– CZYPEL!!!

Bożek ruszył za czortem, który podreptał z kopyta wzdłuż linii brzegu.

– Aaa, cypel! – Zrozumiał po chwili, gdy dotarli do wąskiego pasma lądu, który z tej strony zapuszczał się w głąb stawu. – Ej, serio, mógłbyś założyć sobie jakiś aparat czy coś. Czasem to naprawdę trudno cię zrozumieć.

Bazyl rzucił mu sceptyczne spojrzenie.

– Czy ty fjesz, jak reagujom ludże, gdy im mófisz, sze tfoja koża poczebuje aparatu?

– Nerwowo...?

– Troszeczke.

Uważając, żeby nie zboczyć na lód, dotarli na kraniec cypla i tam wreszcie przystanęli.

Od Tsadkiela dzieliły ich teraz dwa metry, może trzy. Przyglądali mu się przez chwilę w milczeniu. Każde pióro w jego potężnych skrzydłach, każdy rozwiany wiatrem włos, każda rzęsa w rozwartych szeroko, bezbarwnych oczach – wszystko szkliło się cieniuteńką warstwą lodu. Zimne, grube okowy unieruchamiały anioła, sięgając mu aż po pas, jak gdyby wzburzona woda zamarzła w ułamku sekundy, kiedy próbował wynurzyć się z głębin. Kiedy próbował uciec.

– Muszi tu tak tkficz ot kilku dni... – rzekł ze smutkiem Bazyl. – Och, Boszku, czy... czy on...?

Chłopiec na drżących nogach postąpił jeszcze kilka kroków przed siebie i stanął na skraju cypla. Lód i anioł byli teraz jednością, prawdziwym posągiem – pięknym i strasznym zarazem, ni to z marmuru, ni to z porcelany. Za postument służył mu cały staw.

Ale...

Choć chabrowe oczy Bożka widziały jedynie posąg bez życia, to serce dostrzegło coś więcej i aż zatrzepotało mu w piersi. Czuło, czuło iskrę, ostatnią, słabą iskrę, która ledwo się tliła gdzieś pod warstwami bezlitosnego lodu. Ale była tam, wciąż była! A to oznaczało jedno.

– On żyje – wyszeptał ze zdumieniem Bożek, bezwiednie robiąc kolejny krok przed siebie. Teraz widział nawet łzy zastygłe na anielskim policzku. – Żyje!

Wtem przez polanę przetoczył się przedziwny, groźny pomruk. Bożek poczuł wyraźne drżenie i spojrział w dół. Stał na zamarznętej tafli! Ledwo zdążył odskoczyć, kiedy lód pod jego stopami zatrzeszczał i pękł. Skamieniała anielska postać drgnęła gwałtownie, po czym osunęła się kilka centymetrów głębiej. A Bożek upadł na

ziemię – i chyba tylko dlatego usłyszał, jak gdzieś w dole zachlupotała woda.

I jeszcze coś. Jakby... głosy?

– Fłasznie dlatego ne fchodzi sze na lót – skwitował czort, pomagając mu się podnieść i otrzepać ze śniegu. – Lót jeszt zdradlify!

– A ten to już chyba szczególnie – odparł chłopiec. – Bazylu, patrz! Patrz, co się dzieje!

Na ich niedowierzających oczach pęknięcia zasklepiały się niemal tak szybko, jak dopiero co powstały. W ich miejscu na tafli lodu dało się dostrzec jak gdyby blade blizny o wyraźnym ametystowym połysku.

Tsadkiel wciąż walczył!

Nie mógł się oswobodzić, nie był w stanie wzbić się w powietrze, dlatego próbował chociaż za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni. Lecz opadał już z sił i ilekroć tafla pękała, on pomału, nieuchronnie zanurzał się coraz głębiej, centymetr po centymetrze.

– Jego coś wciąga – pojął naraz Bożek i odwrócił się do czorta. – Wciąga, rozumiesz? Od spodu, coś wciąga Tsadkiela pod wodę! Musimy go uwolnić, i to szybko!

– Tylko jak?

– No... no... moglibyśmy znaleźć jakiś kamień i rozbić ten lód, i wtedy...

– ...i ftedy one go fczongnom rasz-dfa – dokończył czort. – Ne, ne tendy droga, ne tendy...

– Jakie znowu one?

– Fodnicze. No fjesz, fodne panny, sztraszne szkarady. Kuszom cze tym, czego pragnesz najbardziej – miłoszczom, że och, albo pjosenkom, albo gilanjem pod paszkami, a potem czapa, mogiła, mószg pszesz szłomke i do szarkofagu fon! To musi bycz ich szprafka – orzekł Bazyl, mierząc wzrokiem sposągowiełego anioła i cmokając w zadumie. – Ne, górom ne damy rady go ufolnicz. Fodnicze bendom szypsze. I szilniejsze.

Bożek już nie wytrzymał.

– No to jak nie górą, to niby którędy? – krzyknął z irytacją. – Bokiem?!

– Och, to akurat proszcie. Muszimy do nego dotrzec ot pupy sztrony!

Wbrew pozorom klapa w podłodze nie była bardzo ciężka. Dwie macki podniosły ją bez trudu, odsłaniając czarny kwadrat.

– Że niby tam jest to przejście... czy coś? – zapytał Bożek, bez przekonania zaglądnąwszy do środka.

Piwnica pod domem cioci była jedyną pozostałością po spalonej przed laty Lichotce i, zdaniem czorta, skrywała wielką tajemnicę. Przejście bądź też, jak to ujął z właściwym sobie wdziękiem, „aktyfną ot fjekóf szczeline mjendżyfymjarofom”. Przez dwa ostatnie stulecia wylazło nią parę niezbyt ludzkich stworzeń, począwszy od małego anioła, a na małym czorcie skończywszy.

A teraz, dla odmiany, coś musiało do niej wleźć.

Im bardziej Bożek zaglądał do piwnicy, tym bardziej nic w niej nie widział, jak gdyby ciemność gęstniała z każdą sekundą... a może to tylko tak podpowiadała mu napędzana lękiem wyobraźnia? Cóż, nie miał za bardzo czasu na rozterki. Każda minuta zwłoki zbliżała Tsadkiela do dna.

Bożek sięgnął po lampę i nabrał głęboko powietrza.

– No to w drogę! – Postawił stopę na pierwszym schodku.

– O, nenenene! – zaprotestował czort z wielką mocą. – Tam ne moszesz iszcz! To nebeszpjeczne!

– Och, jejku jej. – Chłopiec ze smutkiem pokręcił głową, po czym zszedł schodek niżej. – Nie rozumiem, co do mnie mówisz.

– Pofjedzałem, że ne moszesz tam iszcz!!!

– Nic a nic nie rozumiem. – Kolejny schodek.

– BOSZYDASZE ANTONJI JEKEŁŁKU!!!

– W ogóle – dobiegło z dołu.

Z bliska, w świetle lampy, piwnica nie wyglądała już tak strasznie jak z góry. Wprost przeciwnie, wydawała się dość zwyczajna. Ot, kilka regałów z przetworami, paczkami kaszy, ryżu i kawy, do tego wielki worek ziemniaków w kącie, obok zaś dwa mniejsze, z cebulą i marchwią. Ciocia trzymała tu także rozmaite narzędzia, zapasowe dętki do roweru, baterie, blaszki i inne rzeczy użytku mniej lub

bardziej codziennego. Krótko mówiąc, była to piwnica, jakich wiele – a przynajmniej tak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Tyle że ta konkretna piwnica upojnie pachniała Lichem. Pachniała Krakersem. Pachniała Bazylem.

I coś w niej było bardzo nie tak.

Chłopiec rozejrzał się uważnie, wyęzając wszystkie zmysły. Było tu zimno i sucho, dzięki czemu piwnica mogła służyć cioci za doskonałą spiżarnię, skąd więc to nieodparte wrażenie wilgoci ciągnącej po plecach? Obracał się pomału, ostrożnie, żeby mu przypadkiem nie umknęło, żeby go nie zgubić i... Tam! Podszedł do ściany i przeciągnął po niej palcem. Była mokra!

– To tutaj, prawda? – Obejrzał się na czorta, który właśnie zeskoczył z ostatniego schodka, upychając coś prędko w swojej torebka. – Przejście, o którym mówiłeś, to tędy dostaniemy się do Tsadkiela!

– Bycz mosze – odparł wymijająco Bazyl. – Ale ty nigdy nie idziesz i... i... i koniecz dyskusji!

– Ej! Jak ja raz utknąłem w zaświatach, to mój wujek od razu poszedł mnie ratować. Całkiem sam!

– Ale pjękło to jeszt naprafde nebeszpjeczne mjejszcze, a ja objechałem Odzincze, sze f nebeszpjeczne ne! Ja... ja... ne posfalam! – oznajmił hardo czort i dla wzmocnienia efektu tupnął kopytkiem o kamienną posadzkę, aż poniosło się echo.

Bożek tylko uniósł brew.

– Serio...?

– No... znaczy, Odzinka ne posfala!!! I mamusza tesz.

– Ale to jest TWOJA mamusia, nie moja – wytknął mu chłopiec, na co czort wzruszył ramionami.

– Mamusza to mamusza. Fszysztkje mamusze szom takje szame. Czeplutke, mjenczutke i... naprafde sztraszne, kjedy sze fkurzom.

Bożek splótł buntowniczo ręce na piersi i sięgnął po Ostateczny Argument, który miał wszystkie argumenty pod sobą.

– Tata to by mi na pewno pozwolił!

– Och, sz pefnoszczom, ale tfój tata tak jakby ne...

– Kto mnie wołał, czego chciał? – rozległo się naraz i z kamiennej ściany tuż nad złotą głową chłopca wyłoniła się nagle głowa zielona,

widmowa, z puklami.



- TOSZ TO GLUT!!! - wrzasnął czort na jej widok.
- TOŻ TO CZORT!!! - wrzasnął glut, wypadając z tejże ściany i z mokrym mlaśnięciem lądując na podłodze.

Chwilę potrwało, zanim Szczęśny przybrał na powrót postać nie tylko sobie właściwą, ale też nadającą się do wyściskania przez stęsknionego syna.

W tym czasie czort podniósł się i otrzepał futerko z kurzu.

– Tatoooo! – Bożek czym prędzej przeszedł do ataku. – Bo ja chciałbym zejść z Bazylem do piekła, mogę? Mogę, tatusiu?

– Och, synu, cóż to za pytanie! Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga, łam, czego...

– Widzisz? – Nie czekając na ciąg dalszy, chłopiec z satysfakcją zwrócił się do czorta. – Mówiłem, że tata mi pozwoli. Idziemy! Tu trzeba jakoś zapukać czy...?

– Ja po prostu wnikam. O tak. – Szczęśny zaprezentował z wdziękiem, któremu to wdziękowi towarzyszył cichy chlupot.

Nie zastanawiając się za bardzo, na wypadek gdyby mogło mu to zaszkodzić, Bożek nabrał powietrza – i wniknął w ścianę.

Pozostawiony sam sobie w piwnicy czort cmoknął raz. Drugi. Odchrząknął.

– Aha. Fszpanjale, po prosztu fszpanjale. Czuje sze uraszony.

Złocista głowa chłopca na powrót wyjrzała ze ściany.

– Ale że przeze mnie? A co ja takiego zrobiłem?

– Ne mófyłesz mi, że jeszcze pół człofjekjem, pół fidmem, a pół glutem! – odparł z wyrzutem czort. – Czo jeszcze pszede mnom ukryfasz?!

– Nooo... Mówię płynnie po niemiecku, znam na pamięć siedemdziesiąt pięć wierszy i... i czasem dłubię w nosie, kiedy nikt nie patrzy...

– Och... och, czo za opszytlifoszcz...! – sapnął Bazyl, wstrząśnięty do głębi tym, co usłyszał. – Dłubanie jeszcze rozumiem, ale z poezją to jusz sztanofczo pszeszadziłesz!

– Postaram się powstrzymać od recytacji. Przysięgam. To idziesz czy nie?

– Alealeale... MAMUSZA!!!

– Och, alleluja! – zakrzyknął zniecierpliwiony chłopiec. – Nie mamy czasu po nią iść, Tsadkiel się zaraz zapadnie! Chodź, bo pójdę bez ciebie i... i... i ciocia ci nadmucha!

Naraz nad ich głowami (oraz resztą cielesności w przypadku czorta) rozległ się głośny rumor. Ciemne cielsko wpadło przez kwadratowe wejście. Młóćąc powietrze mackami, sturlało się po schodach do piwnicy, z plaśnięciem odbiło od posadzki i wylądowało na głowie chłopca.

– Mrrrrrrrrroooaaarrrrrrrrr! – oznajmił dobitnie mały potwór, gdy już uczepił się Bożka wszystkimi przyssawkami.

– On się chyba nie da drugi raz zostawić w domu – domyślił się chłopiec, łypiąc jednym chabrowym okiem spomiędzy macek. – Guciu, ale ja bym jednak wolał trochę bardziej oddychać...

– Pffflomp?

– Aha, bardzo szprytne, no bardzo! – zakrzyknął czort z oburzeniem, kiedy potwór i chłopiec zniknęli po drugiej stronie. – Czyli bierzemy do pjełka gluta, bierzemy pana lepkje maczki, ale rogatej mamuszi zaprafjonej f bojach sz potforami to ne, ne, no bo po czo!!!

– Ach, wiesz, jak to mawiają – odrzekła zielona głowa, wyglądając ze ściany. – Troje to już tłum.

Bazyl zgrzytnął zębami, mało sobie szczęki nie zwichnął. A potem westchnął, poprawił pasiasty szaliczek i z duszą na ramieniu oraz torebką obijającą się o zadek wszedł w szczelinę między wymiarami.

Po drugiej stronie było bardzo, bardzo zimno. I mokro. Wilgotne powietrze wdzierało się wszędzie, wciskało natrętnie między warstwy ubrań i dotykiem lodowatych paluchów mroziło każdy skrawek gołej skóry, jaki zdołało chociażby musnąć.

– O rany, o rany, o rany... – Bożek zadygotał. Znajdowali się w niewielkiej pieczarze. Chłopiec czym prędzej naciągnął mankiety kurtki, żeby schować dłonie głębiej w rękawach. Ledwo tu weszli, a już mu skostniały palce, chociaż miał rękawiczki. Nie czuł też nosa i policzków, chociaż miał Gucia. (Zwłaszcza Gucia, którego miał wszędzie, łącznie z prawym nozdrzem, ale to niechący i tylko przez moment). – Chyba pierwszy raz żałuję, że nie założyłem tych kalesonów.

Bazyl pokiwał głową.

– Och, tak, tak... Pjekło robi z ludźmi sztraszne rzeczy.

Tymczasem Guccio zlął ochoczo na ziemię, jak gdyby w ogóle nie czuł tego zimna. Pomrukiwał radośnie, ciesząc się z cichego, mlaskającego *pflomp, pflomp, pflomp*, jakie wydawały jego macki na wilgotnej skale. Chłopiec znów zadrżał i naciągnął czapkę aż na brwi. Trochę mu się teraz źle mrugało, bo zaczepiał rzęsami o wełnę, ale bez warstwy ochronnej z potwora miał wrażenie, że zaraz zamarźnie mu twarz.

– T-t-tut-t-t-aj zawsze jest t-t-tak zimno? – zaszczekał zębami.

– A czo ty myślałeś, że to futerko to czo? – Bazyl uniósł włochatą nóżkę i dla zaprezentowania przejechał po niej łapką, od kolanka aż po kopytko. – Dla ozdoby?

– W zasadzie t-t-to st-t-tarałem się nie myśleć o nim wcale – przyznał chłopiec. – T-t-teraz będzie mi t-t-trochę t-t-trudniej.

Bazyl puścił tę uwagę mimo uszu.

– Tak fłaszczyfje – podjął z godnością – to jeszt pszetpjekło. I trochę natpjekło... Pszetnatpjekło. No fjesz, taki fstempny poziom, dla poczontkujonych.

– A co... co możemy spotkać na tym wstępnym poziomie?

– Och, różne sztfoszenja. Dźdzofnicze, krety, nornicze, djaboły, monsztrualne gliźdy plujoncze lafom... Szom czałkiem miłe, bardzo lubjom szfir, masz mosze szfir?

– Przykro mi, zostawiłem w innych butach.

– Ach. A landrynki...?

– To landrynki też lubią?

– Ne, ale ja bym poczmokał...

Nakazawszy towarzystwu nie gadać, nie tupać, nie pflompać, a w miarę możliwości nie istnieć zbyt nachalnie, czort poprowadził ich dalej wąskim, krętym korytarzem pośród skał. Jak przystało na przedstawiciela sił nieczystych w swym naturalnym środowisku, w piekielnych ciemnościach czuł się jak ryba w wodzie i z taką też łatwością się w nich poruszał, podobnie jak widmowy Szczęsny. Bożek po kilku niepewnych krokach odkrył, że co prawda musi wyteżać wzrok, ale nie bardziej niż późną nocą, kiedy dreptał do łazienki za potrzebą i nie chciał zapalać światła. Najwidoczniej

bycie pół człowiekiem, pół widmem (i pół glutem) miało też pewne plusy.

Wkrótce korytarz się skończył i czort dał im znak, żeby zaczekali w bezpiecznej odległości, sam zaś wyrzął z za węgła, by sprawdzić, czy nie czyha na nich nic szczególnie złowrogiego. A biorąc pod uwagę, że wędrowali właśnie przez piekło – konkretnie przez przednadpiekło – to prawdopodobieństwo czyhania było równie wysokie co prawdopodobieństwo złowrogości.

– „Cóż to tam słyhać za jęki, i czarne kruki łopocą?” – Z tych nerwów Bożkowi naraz wyrwała się poezja.

– Och, och! „To śpiew śmierci, dzwonów brzęki!” – podjął z miejsca tata zachwyconym szeptem.

– „Kogóż to chcą grzebać nocą?”

– „Niosą trumnę, koło trumny blade lampy i całuny; przodem, czarno ubrani...”

– Och, albo ten! Tato, znasz ten? „Czemu, cieniu, odjeżdżasz, ręce złamawszy na pancerz, przy pochodniach, co skrami grają około twych kolan?”

– „Aż kiedy stoczyć się przyjdzie do grobu i czeluście zobaczym czarne...”

– I FŁASZNIJE DLATEGO NE LUBJE POEŻJI!!! – dobiegł ich w ciemnościach rozgorączkowany szept Bazyla, na co Szczęsny zasmucił się szczerze.

– Wielka, wielka szkoda. Celnie dobrana poezja tworzy niepowtarzalny klimat!

– Tak. Nepoftaszalnje krobofy!

– Och, to może wolałbyś okolicznościowy sonecik? „Leżysz zabity i jam też zabity, ty – strzałą śmierci, ja – strzałą miłości...”

Chwilę potrwało, zanim ojciec i syn zaprzestali poetyzować, czort zaś pieklić się szeptem, i poprowadził ich następnymi korytarzami przez następne pieczary, coraz dalej, coraz głębiej w podziemny labirynt, aż stracili poczucie kierunku i czasu.

Nieustanny marsz z małym potworem to przy nogach, to pod nogami, to znów na plecach, kiedy akurat zmęczyły mu się macki albo jakiś kamień przyczepił się do przyssawki, pozwolił chłopcu przynajmniej rozgrzać się na tyle, że już nie szczekał zębami, jakby

to były kastaniety. Coraz bardziej dręczyło go jednak przekonanie, że coś tu się nie zgadzało, że o czymś zapomniał...

Naraz podskoczył i o mało nie wrzasnął, bo coś puknęło go w ramię. Odwrócił głowę.

– Lękam się, że... no wiesz. Tracę formę – rzekł tato, zieleniąc się z zawstydzeniem.

Bożek najpierw nic nie zrozumiał, potem jednak spojrzał na ziemię. Piekielny ziąb sprawiał, że zielona ektoplazma, z której w dziewięćdziesięciu procentach było teraz zbudowane jego ciało, zeszywniała i stwardniała niczym fluorescencyjna ciastolina pozostawiona bez pudełka – a co gorsza, zaczęła się również kruszyć...!

– Och, nenenenene! – zaterkotał Bazyl ze zgrozą na widok grudek, które znaczyły ich ścieżkę co najmniej od ostatniego zakrętu. Zielona ektoplazma emanowała bladym blaskiem i była doskonale widoczna na tle ciemnej skały. – Ne mozesz zostafjacz okruszkóf!!! Żmjotka, czy ja zabrałem żmjotke?!

Nie zdążył nawet przetrząsnąć swej torebki, gdyż oto w ruch poszły macki! (Wraz z resztą małego potwora, rzecz jasna). Gucio z bulgotem przeturlał się w tę i z powrotem przez korytarz, przyssawkami – *pflomp, pflomp, pflomp* – zbierając co do jednej wszystkie widmowe grudki. Powcisnął je na powrót w Szczęsnego, po czym uklepał, tak dla pewności.

– Czuję się nieco zbrukany – wyznało widmo po chwili krępującego milczenia. – I chyba utkwiał mi gdzieś kamyczek.

– Pflomp...? – zaoferował Gucio, uczynny jak zawsze.

– Och, gdybyś był tak miły!

Nagle usłyszeli ciche kwiknięcie. To czort, który podreptał przodem, żeby sprawdzić, czy droga wolna, właśnie wyjrzał zza węgła i szaleńczo machał do nich szaliczkiem.

– Fidzicze? – zapytał przejmującym szeptem, kiedy znaleźli się u jego boku.

Przed nimi otwierała się wysoka pieczara, pośrodku której wznosiło się skaliste wypiętrzenie. Tam przycupnęła grupka przedziwnych stworzeń skulonych pod niewidzialnym ciężarem. Kościste ciała obciążone szarą skórą, która nigdy nie widziała

słońca, wylupiaście oczy bez powiek i ostre, trójkątne zębiska, których końce wystawały z bezwargich ust, upodabniały je trochę do pokracznych ludzi, a trochę do nietoperzy. Były brzydkie i straszne... i smutne.



- Jusz po nasz – sapnął czort. – Tam szom płaczki!
- Praczk...?
- Płacz-ki! – powtórzył z naciskiem.
- To one plują lawą?
- Och, gorzej... One nicz, tylko szedżom i fszdychajom, i płaczom, płaczu-płaczu-płacz.
- To przez nie tu jest tak mokro? Od ich łez? – Bożek domyślił się w okamgnieniu.
- No. Ne szom szczególnie groźne... chyba że jesztesz pajonkjem, to ftedy tak – uściślił czort, bo właśnie jedna z płaczek pochwyciła tłustego pająka i ze smętną miną przeżuwała włochaty odwłoczek. – Ale na pefno ne poszfolom nam pszejszcz. A musimy pszejszcz, bo fłasznie za tom pjeczarom jeszt sztaf!
- To co my teraz zrobimy?
- Bazyl cmoknął w zadumie.
- Czós. F takich szytuaczjach Odżinka szfykle radzi szobje szuflom, ale ja fogle ne mam f szobje agreszji. Ani szufli. Och, czo za fatalna, fatalna fyprafa... – westchnął ciężko, łapiąc się za głowę. – Ten sze szypje na kaszdym kroku, te żarasz bendom na nasz szlochacz i ochacz, i jenczecz, pszczesz ja tego ne... – Urwał, po czym mrużąc oczka, zmierzył wzrokiem Bożkowego tatę, który dotąd w milczeniu przyglądał się płaczkom. Tata odpowiedział mu uśmiechem bardzo szerokim, bardzo promiennym i tylko trochę niepokojącym.
- Ne znasz pszypatkem fjenczej tych takich tam poezji...? – zapytał czort chytrze. – No fjesz. Szeby sze chciało BARDŻO płakacz.
- Na te słowa Szczęsny natychmiast przestał się uśmiechać. Zamiast tego wyprostował się z godnością, obciągnął poły widmowego fraczka i odrzuciwszy w tył zielone pukle, odrzekł:
 - Mrowie nieprzebrane. Wycisnę łyzy choćby z kamienia, choćby z granitu, choćby z...
 - Ale ne tszep tak pukłami, bo sznofu sze kruszysz.
 - Ciałem zaledwie, lecz nie duchem! – odparował hardo widmowy poeta, jak przystało na bohatera w obliczu wyzwania, które rzucił mu los. Gdyż tym właśnie postanowił zostać –

bohaterem! Nieco kruchym, fakt, nieco przezroczystym i może nie do końca skupionym w swej bezcielesności (gdyż tak to już bywa z glutami), a mimo to niezłomnym, wbrew okrutnemu losowi i temperaturze poniżej zera. – Tak. Tak właśnie uczynię. Odciągnę uwagę tych żałosnych stworzeń, abyście mogli uratować tego... kogoś, kogo uratować musicie.

– Tsadkiela – podpowiedział Bożek.

– Jego również. – Widmowa dłoń zanurzyła się w złocistych puklach chłopca. Ten gest, choć tak prosty, krył w sobie nieskończone pokłady miłości i pocieszenia. I lepkości. – Bez obaw, mój synu. Ja zawsze znajdę drogę na świat dzienny. Powrócę. Niczym przebiśnieg, czysty i piękny, wyłonię się z mroku i...

– A wujek Konrad mówi, że wyskakujesz jak pryszcz na czubku nosa – wypalił Bożek. – Znienacka i boleśnie.

– Ach, Kondziu... – Widmo otarło zieloną łzę wzruszenia. – Nikt nie wyrazi mnie całego metaforą równie trafnie co on!

Chwilę później czort, chłopiec i potwór z zapartym tchem przyglądali się ze swej kryjówki, jak Szczęsny (krokiem dość dziarskim jak na kruszącego się gluta) przemaszerował przez pieczarę. Stanąwszy przed paskudami, zagaił głośno i dźwięcznie:

– Przepraszam, czy mają panie chwilę, żeby pogawędzić o hipotaksie i parataksie oraz rytmie wierszy jambicznych na bogato cytowanych przykładach literatury rodzimej...?

– Tfój tata zna fjersze o hipopotamach? – dziwił się czort, gdy przekradli się za plecami oszołomionych poezją paskud i zniknęli w czeluści następnego korytarza.

Bożek wzruszył ramionami.

– Mój tata jest poetą romantycznym, a poeci romantyczni rymują rzeczy.

– Chyba od rzeczy?

– No. To też.

Z każdym zakrętem robiło się teraz coraz bardziej zimno i mokro. Niski czort zręcznie balansował wydatnym kuperkiem, ilekroć zaszła taka potrzeba, dzięki czemu parł przed siebie bez żadnych

przeszkód. Przyssawki Gucia też świetnie sprawdzały się w tych trudnych warunkach, ale Bożek kilka razy poślizgnął się i upadł, boleśnie tłukąc łokieć i pupę. I chyba rozdarł sobie spodnie.

– Tendency! Tendency! – powtarzał raz po raz Bazyl, wiodąc całą trójkę to w lewo, to w prawo, nade wszystko jednak w dół i w dół, i w dół.
– Teraz tendency! I tendency. I... i ten... dy...?

Znaleźli się w niskiej skalnej jamie, z której brały początek dwa korytarze i kilka węższych podziemnych chodników. Ściekająca po ścianach woda tworzyła tu głębokie kałuże, tak zimne, że wystarczyło w nich przystanąć na moment, żeby stracić czucie w stopach czy mackach. Gucio czym prędzej wspiął się Bożkowi na plecy i zacisnął macki na jego piersi.

Chłopiec nie protestował. Może było mu teraz ciężiej, ale na pewno cieplej. I raźniej, bo co tu kryć, już wcale nie czuł się tak pewnie jak na początku wędrówki, gdy znajdowali się blisko powierzchni. Teraz, głęboko pod ziemią, na dodatek bez taty, zaczynał żałować, że jednak nie poszli najpierw po Osse... A czas mijał, mijał nieubłaganie, chociaż nie umieli określić, ile dokładnie go już upłynęło, odkąd przeszli przez ścianę w piwnicy. Owszem, w torebce czorta znaleźli zegarek, a nawet kompas (oraz trzy torebki budyniu czekoladowego w proszku, obcęgi i mydło w kostce), tyle że oba instrumenty okazały się bezużyteczne – i wskazówki, i igła kręciły się bez ustanku jak oszalałe.

W tej sytuacji Bożek mógł polegać wyłącznie na swoim przeczuciu. A ono szeptało mu coraz natarczywiej, że coś tu jest bardzo nie tak...

– A ne, jusz fjem! – odezwał się Bazyl po głębokim namyśle. – Tendency.

– Zaczekaj!

Marszcząc brwi, Bożek popatrzył w wylot korytarza, który wskazał Bazyl. Tędy, tak właśnie, bez wątpienia tędy. Tędy, tędy, na pewno, w końcu to piekło, a któż inny mógłby znać piekło lepiej od czorta? Tędy zatem, na pewno tędy...

Nie, podszeptęło mu serce. Nie tędy.

– Nie – powiedział Bożek na głos, po czym odwrócił się do wąskiego chodnika. Czarna jama, która ziała spomiędzy skał, nie

wyglądała zbyt zachęcająco, jednak serce nawet nie zadrżało. Wciąż niezachwianie wskazywało właśnie ten kierunek. – Tamtędy.

– Nenenenene... – zaczął Bazyl bardzo, bardzo stanowczo, ale chłopiec nie słuchał. Bo nagle zrozumiał.

– Och, Bazylu...! – sapnął. – Przecież... przecież ty jesteś czortem...

– No... tak jakby. Tak. – Zaczekał z konsternacją. – A ty tak teraz zaufażyłeś...?

– Jesteś czortem – ciągnął Bożek, nie zwracając na niego uwagi. Skupiał się na myślach, dotąd zamotanych w skomplikowany węzeł, które wreszcie zaczęły się rozplątywać i zwijać w elegancki, zwarty motek, z początkiem i końcem, i tym wszystkim, co pośrodku. – Jesteś czortem, więc wodzisz na pokuszenie, sprowadzasz na manowce i... na manowce...!

– Chcesz pojedźecz, sze ja...? – Przejęty Bazyl czym prędzej przydreptał do chłopca i chwycił go za rękaw. – Och, przepraszam! Ja ne chciałem, ja naprafde...!

– Nie, nie! Ja wiem, że to po prostu leży w twojej naturze i że naprawdę chcesz dobrze, ale... – Westchnął, zwieszając bezradnie ręce. – Ty nie doprowadzisz mnie do Tsadkiela – rzekł cicho. – A już zwłaszcza tu, w piekle.

– Kjedy ja umjem f pjekło! Umjem!!!

– Ale właśnie w tym problem, rozumiesz? Tutaj twoja natura jest jeszcze silniejsza i... Nie dasz rady.

Bazyl pomału ściągnął wełnianą czapę. Kłapciaste uszy przykłyły mu jeszcze bardziej, koczek się rozsypał i nawet różki wydawały się sterczeć jakoś tak mniej buńczucznie niż zwykle.

– Czyli Zadkel mjał raczje? Jesztem źłem...?

– Nie! No co ty! – Woda w kałużach zachlupotała mu pod stopami, gdy mimo ciężaru na plecach Bożek pochylił się i z całych sił przycisnął czorta do piersi. Gucio natychmiast skorzystał z okazji i też przyłączył się do przytulasów, pomrukując przy tym z lubością. – Ty jesteś najlepszym czortem stróżem pod słońcem, Bazylu. Nie zamieniłbym cię na żadnego innego! Ale dalej chyba muszę iść sam, inaczej nigdy nie znajdę Tsadkiela. Będiesz dzielny...?

– Bende! – zapewnił czort, po czym zapytał z troską: – A ty?

– Jak ty będziesz, to ja też – odparł chłopiec bez wahania, chociaż w głębi ducha czuł, że z tą dzielnością to wcale nie pójdzie tak łatwo. Prawdę mówiąc, czuł to wręcz na ducha powierzchni, ale nie chciał dokładać zmartwień już i tak przyklapniętemu przyjacielowi.

– Ach, zaczekaj! – Raz jeszcze Bazyl sięgnął do swej niezawodnej torebki i wyciągnął z niej niewielkie zawiniątko. Rozsupłał je bardzo, bardzo ostrożnie. – Lepej fiesz że szobom to.

Chłopiec musiał mocno wyteńczyć wzrok, żeby zobaczyć w ciemnościach, co to takiego.

– Gwóźdź na sznurku...?

– No fiesz! To jeszt potenszny amulet! – oburzył się Bazyl.

– Potężny amulet w postaci gwoździa na sznurku...?

– Toprafty, alle... – Odchrząknął. – Żnaczy, to ne jeszt żaden sznurek, tylko łańcuszek! Bardzo... no, bardzo nofy łańcuszek, że to ż bardzo sztarym gfoźdżem. Magicznym sztarym gfoźdżem ż magicznego sztarego żelaza.

Zgrabiałe palce nie umiały sobie poradzić z zapięciem, na szczęście łańcuszek był dość długi, żeby dziesięciolatek założył go sobie przez głowę. Bożek nie musiał nawet zdejmować czapki. Wystarczyło ostrożnie przeciągnąć łańcuszek przez twarz i...

– Ała! – krzyknął naraz. W miejscu, gdzie żelazny łebek musnął go w nos, poczuł wyraźny, palący ból. – On... on parzy! Ten gwóźdź!

– Mófiłem. Jeszt bardzo, bardzo magiczny. – Wspiąwszy się na czubki kopytek, Bazyl pomógł chłopcu zawiesić łańcuszek na szyi tak, by nie dotknąć przy tym ani skrawka skóry. Gwóźdź z ciemnego żelaza prawie zniknął na tle kurtki. – Gfiżdnołem go Odżincze sz szuflady.

– To ciocia ma szufladę z amuletami?

– Że szkarpetkami. Odżinka jeszt... praktyczna.

Bożek uśmiechnął się, a potem ostatni raz uściśnął czorta. Naprawdę nie mógł już dłużej zwlekać.

– Poradzę sobie, Bazylku – szepnął mu do ucha. – W końcu jestem pół chłopcem, pół widmem i pół glutem, prawda? A ty wracaj czym prędzej na górę i biegnij po swoją mamusię.

„Poradzę sobie”, powtarzał w myślach, nasłuchując, jak stukot czortowskich kopyt stopniowo cichł w oddali. „Poradzę sobie.

Przekroczyłem granice światów, uciekłem z łapsk Króla. Wykułem nawet na blachę mnożenie przez siedem. Tak. W piekle też sobie poradzę”.

– Och, Guciu... – szepnął, ruszając z wolna ku czarnemu chodnikowi, do którego pchało go serce. – Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie...?

Schodzili pomału tunelem.

Już po kilku pierwszych metrach Gucio zlął na ziemię i ruszył przodem. Rozpostartymi mackami wyszukiwał niebezpieczeństwa, jakie czyhały po drodze na chłopca – wszelkie dziury czy występy, luźne kamienie pod stopami albo skalne nacieki zwisające zbyt nisko nad głową – i w razie czego prowadził go przez ciemność, z którą nawet na wpół widmowe oczy nie umiały już sobie poradzić.

W pewnym momencie Bożek spostrzegł ze zdziwieniem, że w wąskim chodniku stopniowo robi się cieplej i jaśniej. Palce mu już tak nie grabiwały, odzyskał nawet czucie w nosie i widział dalej niż na wyciągnięcie ręki. Dużo dalej! Wziął małego potwora z powrotem na plecy i przyspieszył kroku.

Aż naraz przystanął w pół kroku, zapatrzony w prawą ścianę chodnika, na której rozlewała się migotliwą plamą ni to niebieska, ni to zielona poświata. Cokolwiek ją rzucało, musiało kryć się za zakrętem, niedaleko stąd.

– To... to chyba tu. Jak myślisz? – zwrócił się szeptem do Gucia, a ten mocniej zacisnął macki wokół jego torsu i zabulgotał potakująco, choć jakoś tak bez przekonania. – Och, alleluja...

Powoli, by nie zachręścić ani zachlupotać w najmniej odpowiednim momencie, minął zakręt, za którym skrywało się źródło poświaty, i wkroczył prosto w migotliwą plamę.

Aż syknął, skrzywił się paskudnie i z całych sił zacisnął powieki. Także i Gucio zamruczał żałośnie, kiedy światło poraziło jego liczne oczka. Choć nieporównywalnie bledsze od słonecznego, po tak długim czasie spędzonym w ciemności sprawiło im ból. I chłopiec, i potwór potrzebowali chwili, żeby ich oczy na nowo przyzwyczyły się do widzenia świata.

Całe szczęście, że nawet nie próbowali iść dalej na oślep, gdyż pierwsze, co zobaczyli przed sobą, to przepaść. A właściwie zobaczyli ją nie tyle PRZED, ile głównie POD sobą. Bardzo, bardzo pod.

Tuż za zakrętem ścieżka naraz się zwężyła i opadała ostro wzdłuż skalnej ściany, aż na samo dno przepastnej jaskini. Samo w sobie nie było to szczególnie zaskakujące – w końcu znajdowali się w piekielnych podziemiach, a podziemia są z zasady naturalnym środowiskiem występowania dziko żyjących jaskiń. Nie zdziwiliby się również, gdyby w tej konkretnej jaskini ujrzeli potoki bulgoczącej lawy albo wielgachne jaszczurki ziejące ogniem, albo plujące kwasem włochate pająki wielkości psa, albo psy wielkości... no, czegoś zdecydowanie większego.

Zamiast tego ujrzeli staw.

Tyle że od spodu.

Olbrzymia, galaretowata bańka, wypełniona wodą, roślinami i kamieniami, i tym wszystkim, co stawy zwykle mają na dnie, zwisała ze sklepienia jaskini niczym naprawdę dziwaczny żyrandol. Albo meduza, falująca i rozkołysana.

Niemal szurając pupą o stromą ścieżkę, Bożek pomału, z uwagą zszedł kawałek niżej i zadarł głowę. Niebiesko-zielona poświata, która doprowadziła ich do celu, rozlewała się pod sklepieniem, jasna i migotliwa, lecz im bliżej dna jaskini sięgała, tym bardziej ciemniała i gaśła. Chłopiec wpatrywał się w nią przez chwilę i naraz zrozumiał, że to, co widzi, to światło dnia, słoneczny blask – a przynajmniej te jego resztki, które zdołały przebić się przez warstwę lodu, jaki skuwał staw.

Spojrzał w dół. Koniec ścieżki zniknął gdzieś w ciemności, może na dnie, a może... może zupełnie gdzieś indziej. Coś mu mówiło, że wcale nie ma ochoty sprawdzać.

– Pflomp...? – zbulgotało mu przy uchu. Mały potwór też raczej nie był do końca przekonany, czy to aby dobry pomysł, żeby tam schodzić.

– Chyba nie mamy innego wyjścia, Guciu – odparł szeptem Bożek, po czym zsunął się jeszcze kawałek.

To wtedy go zobaczył. Najpierw kątem oka wyłowił jakiś cień tuż pod powierzchnią lodu, a gdy przyjrzał się lepiej, rozpoznał w nim rozmytą sylwetkę anioła stróża. Zastygła, po pierś zanurzoną w wodzie.

– Tsadkielu... Tsadkielu!!! – zawołał Bożek i ruszył biegiem, na śmierć zapominając o śliskiej stromiźnie pod stopami. Gucio ryknął ostrzegawczo, lecz spóźnił się o ułamek sekundy. Grunt uciekł Bożkowi spod nóg i mały chłopiec szepiony z małym potworem stoczyli się w dół ścieżki, szorując o skały. Gdyby nie macki, które ofiarnie chwytają się czego popadnie, jak nic spadliby za krawędź ścieżki. Na dno jaskini dotarli ostatecznie tą dłuższą drogą, owszem – poobijani i pocierani, lecz nadal żywi i mniej więcej w jednym kawałku.

– Poradzę sobie... poradzę sobie... – wymamrotał Bożek. Przez chwilę leżał skulony na ziemi, zbierając siły i czekając, aż odzyska poczucie równowagi, bo myśli w głowie wirowały mu nadal, jakby wpadł do pralki na najwyższe obroty. – Dwa razy siedem, czternaście. Trzy razy siedem, dwadzieścia jeden. Cztery razy siedem, dwadzieścia... dwadzieścia osiem. Tak.

Mokra macka poklepała go po policzku.

– Mroooooaar...?

– Już, Guciu, już... już wstaję... już wstaję.

Przypomniało mu się, jak kiedyś spadł ze schodów – tylko dwóch i bez jakichś szczególnych akrobacji, lecz i tak nabił sobie solidnego guza i mama sprawdzała, czy nie popsuł sobie głowy. Zresztą nie tylko ona, przez cały dzień chyba wszyscy zadawali mu w kółko te same pytania – i wujek, i wujaszek, i widma, i Licho też. Pewnie dlatego wciąż pamiętał, co trzeba robić. Usiadł teraz powoli i krok po kroku sprawdził. Ale nie. Nie było mu niedobrze ani słabo, widział pojedynczo, a kołowrotek w jego głowie już prawie się zatrzymał. Gruba zimowa czapka uchroniła go nie tylko przed zimnem, za to chyba zdarł sobie skórę na nosie, bo strasznie go piekło.

– To było głupie – stwierdził stanowczo, mocno przytulając wstrząśniętego Gucia. – Strasznie, strasznie głupie. Następnym razem... albo nie. Następny raz sobie darujemy, dobra?

Gucio ani myślał protestować.

Znawali się teraz dokładnie pod bańką, w której przelewał się staw. Poświata już prawie nie docierała tak głęboko, ale wciąż było coś widać. Jakieś... poruszenie. Coś nieustająco wprawiało wodę w ruch, chaotycznie, raz tu, raz tam. Czy to Tsadkiel? Bożek podniósł się z ziemi, żeby przyrzeć się bańce z bliska. Kiedy stanął na palcach, mógł nawet dotknąć jej powierzchni. Była mokra, gumiasta, gruba. Ustępowała pod naciskiem palca, by zaraz potem wrócić do pierwotnego kształtu.

I wtedy coś przemknęło tuż przed nim! Coś wielkiego, szybkiego, zręcznego. Bożek odskoczył z wrzaskiem, a Guccio czym prędzej wdrapał mu się na głowę. Tymczasem woda raz jeszcze zakotłowała się gwałtownie i tuż po drugiej stronie gumowatej bańki z ciemności wyłoniła się postać. Znieruchomiła, przyglądając się chłopcu i potworowi wielkimi, bezdennymi oczami. Była chuda i całkiem naga, o skórze tak bladej, że aż sinej, a jej długie włosy unosiły się niczym wodorosty. W ślad za nią zaraz nadpłynęły kolejne, tak samo zwinne i czujne. Tańczyły w wodzie, mijając się o włos, o pół włosa, tak ludzkie i nieludzkie zarazem.

– Wodnice... – szepnął Bożek. Wtedy one przysunęły się bliżej, jak gdyby usłyszały jego głos, i przytknęły białe, patykowate palce do bańki, tam, gdzie po drugiej stronie wciąż dotykała jej dłoń chłopca.



I poczuł.

Poczuł ich myśli – bez słów, uplecione z czystego zachwytytu, ach, taki był ładny w ich oczach, taki złoto-chabrowy, ciepły, taki... Taki żywy. Czuł ich głód, ich pragnienie, by chwycić go i objąć, przytulić,

ach, ukochać, ach, wciągnąć do radosnego kręgu, do tańca, do wody, głęboko, jak najgłębiej, na dno, na zawsze, na wieczność...

Bożek odskoczył jak oparzony. W tej samej chwili wodnice chmarą wzbiły się w górę, ku powierzchni i blaskowi słońca, prosto do... och, do Tsadkiela! Sine dłonie o sękatych palcach chwyciły go za nogi, blade ciała uwiesiły się pasa i piersi, ze wszystkich sił ciągnąc w dół. Po jaskini poniósł się znajomy, niski pomruk. To lód, jedyny sojusznik anioła w tej nierównej walce, znowu zaczął pękać.

– Puście go! – wrzasnął chłopiec na całe gardło, żeby przekrzyczeć złowrogi dźwięk. – Puście go, słyszycie?! Nie możecie, nie wolno wam go tu więzić!!!

I wtedy usłyszał śmiech.

Dlaczego wcześniej nie zauważył, że tu jest? Przecież na tle skał i ciemności wydawała się niemal jaśnieć, taka była bledziutka, o włosach niczym len i dużych, błękitnych oczach. W szarej sukience, której brzeg wystawał spod czerwonego płaszczyka, przypominała kruchą laleczkę z porcelany. A jej śmiech brzmiał jak dzwoneczki.

Uśmiechnęła się do Bożka przyjaźnie. Tyle że to wcale nie pomogło, wcale a wcale! Nie dlatego, że była dziewczyną... no dobra, nie TYLKO dlatego. Rzeczywiście, o ile po tych pierwszych miesiącach w szkole chłopaków już mniej więcej rozgryzł, o tyle z dziewczynami wciąż miał spore zaległości do nadrobienia i nie za bardzo wiedział, jak się za to zabrać. Lecz nawet on świetnie zdawał sobie sprawę, że zazwyczaj trudno je spotkać w piekielnej jaskini. I że raczej nie powinny tu występować...

– Kim... kim jesteś? – wychrypiał wreszcie przez ściśnięte gardło, chociaż wcale nie był pewien, czy aby chce usłyszeć odpowiedź.

– Mama nigdy ci nie mówiła, że nie wolno rozmawiać z obcymi?
– zapytała rezolutnie dziewczynka w czerwonym płaszczyku, na co chłopiec odparował:

– Mówiła też, że koniec języka za przewodnika. Kim jesteś? Co tu robisz?

– A ty?

– Ja? Przyszedłem po mojego anioła.

– Ale to nie jest twój anioł – odparła i przechyliwszy głowę, zmierzyła Bożka uważnym spojrzeniem. – Ty go wcale nie chcesz. Nawet go nie lubisz.

Otworzył usta, zaskoczony. Zamknął. Znów otworzył.

– Skąd... skąd wiesz?

– Czemu go tu po prostu nie zostawisz? – ciągnęła, ignorując pytanie. – One nie zrobią mu nic złego. Sam się uwięził w tym lodzie. One chcą się z nim tylko pobawić.

– Chcą go utopić! – zaprotestował z oburzeniem. – W topieniu nie ma nic zabawnego!

– Wiesz, to wodnice – zauważyła rezolutnie dziewczynka w czerwonym płaszczku. – Nie znają innych zabaw, potrafią tylko śpiewać, pływać i topić. Nie możesz oczekiwać, że się zmienią wbrew swojej naturze, bo ty byś tego chciał.

Nagle Bożek usłyszał niespokojny bulgot i mała macka pociągnęła go z tyłu za kurtkę. Spojrzał za siebie – i odskoczył jak oparzony. Jedna z wodnic napierała na bańkę, próbując go dosięgnąć.

Dziewczynka w czerwonym płaszczku pogroziła im porcelanowym palcem.

– Nie, nie wolno. My tu rozmawiamy, moje drogie. No już, sio! Sio!

– One ciebie słuchają...? – wyszeptał zdumiony Bożek, gdy wodnice czmychnęły posłusznie. Błyskawicznie odwrócił się do dziewczynki. W jego wielkich chabrowych oczach zaśniła nadzieja. – Powiedz im, żeby go puściły. Proszę. Proszę! Masz rację, to nie jest mój anioł, ale... ale bez niego nic już nie będzie takie samo.

Otaksowała go wzrokiem.

– A co mi za to dasz?

– A... a czego chcesz? – zapytał roztropnie.

Wzruszyła ramionami.

– Niczego wielkiego – odpowiedziała. – Obiecuj mi zielony wiatr.

– Co takiego...?

– Zielony wiatr. Obiecuj, że będzie mój.

– Ale... ale ja nie umiem złapać wiatru – zaprotestował Bożek, całkiem zbity z tropu. – I dlaczego właśnie zielony, czy to jakaś

metafora? Przecież wiatr nie ma koloru, wiatr to... to tylko ruch, poruszające się powietrze, więc...

– Wystarczy, że obiecasz – przerwała mu łagodnie. – Sama go pochwycę.

– Ale nie da się pochwyć wiatru!

– W takim razie możesz mi go spokojnie obiecać, prawda? Dostaniesz coś za nic.

Och, nie powinna była tego mówić! Nie do Bożka, który chyba pół życia spędził z nosem w książkach. Nie dał po sobie nic poznać, ale w głębi ducha aż pisnął. Warto było tyle czytać! Pamięć natychmiast podsunęła mu odpowiedź ukrytą w baśniach – tych strasznych, starych baśniach, w których prawem niespodzianki nieznajomy prosił o pierwszą rzecz, jaką bohater napotka po bezpiecznym powrocie do domu. Albo o coś, co już miał, jeszcze o tym nie wiedząc... Sęk w tym, że za obietnicą pomocy zawsze krył się podstęp.



– Kim jesteś? – zapytał Bożek ponownie, teraz jeszcze czujniejszy niż dotąd. – Jak się tu dostałaś? Jak... – Zamilknął raptem, uderzony myślą, która w pierwszej chwili wydawała mu się niedorzeczna. Za to w drugiej... Popatrzył w górę, na postać skutą lodem, i szept sam spłynął z jego ust: – Jak go tu zwabiłaś?

A potem mrugnął – tylko mrugnął, naprawdę! Ile trwa takie mrugnięcie, sekundę? Pół? Ćwierć? Lecz nawet i ćwierć wystarczyło, by dziewczynka w czerwonym płaszczyku znalazła się tuż przy nim. Jak gdyby jednym susem przesadziła dzielące ich metry!

– A czy to ważne? – zapytała z tym swoim łagodnym uśmiechem, po czym uniosła wyprostowany palec. – Może anielska natura kazała mu ratować bezbronne dziecko przed potworami, tak jak kazała mu ratować ciebie przed straszliwym demonem...

– Skąd wiesz? – wtrącił błyskawicznie, lecz ona ciągnęła:

– ...a może zwyczajnie potknął się i wpadł do stawu jak ostatnia niezdara? Ważne, co zrobisz TY, żeby go teraz... – podjęła i z tymi słowami dźgnęła go porcelanowym palcem prosto w pierś. Tyle że wcale nie trafiła nim w Bożka. Trafiła w gwóźdź ze starego żelaza.

I KRZYKNEŁA!

Chłopiec przycisnął dłonie do uszu i cofnął się czym prędzej, byle dalej od tego krzyku, od którego mało nie pękła mu głowa. Zdjęte przerażeniem wodnice zakotłowały się i pierzchły, bańka ze stawem zabulgotała, po czym wezbrała, wydeła się – i lód pękł pod naporem wody.

W tej samej chwili dziesiątki rys usiały porcelanową twarz dziewczynki.

Nie. Wcale nie była z porcelany, lecz z lodu, zimnego i bezlitosnego. I wcale nie była dziewczynką, tylko czymś bardzo, bardzo starym, czego Bożek nie umiał ani nazwać, ani zrozumieć. Ale jedno dotarło do niego z całą mocą, od której na moment serce zastygło mu ze strachu. Czymkolwiek była, z pewnością była zła.

Nawet się nie zastanawiał – nogi same poniosły go w górę stromej, śliskiej ścieżki, a mały potwór już deptał mu po piętach, popychał, popędzał. Uciekać, uciekać, uciekać jak najprędzej, najdalej!!!

– Nigdy nie znajdziesz wyjścia, głuptasie! – dobiegł go z dna jaskini krzyk dziewczynki w czerwonym płaszczyku. Taki radosny, taki szyderczy... och, jaki straszny! Bożkowe kolana aż ugięły się od tego krzyku. Upadł, lecz zaraz wstał i wspinał się dalej, ku oślepiającej poświacie, która wlewała się teraz do stawu.

Bo już nic nie stało jej na drodze.

Bo łód w końcu pękł – i Tsadkiel w końcu zsunął się do zimnej wody.

Bożek momentalnie znieruchomiał na ścieżce, z plecami przyciśniętymi do skały. Mógł co najwyżej patrzeć, jak Tsadkiel szamocze się w wodzie, próbując opędzić się od wodnic. Tańczyły wokół niego, wirowały, śmigały to w lewo, to w prawo, rozbawione, okrutne, złaźnione, a wszystko to ledwie na wyciągnięcie ręki...

– Nie znajdziesz, nie znajdziesz, nie znajdziesz!

Szybko spojrzał w dół, pod nogi. W blasku poświaty krawędź ścieżki była teraz widoczna niemal jak na dłoni – tak samo jak pustka ziejąca daleko, daleko w dole.

– A właśnie że już je znalazłem! – wrzasnął, zebrawszy w sobie całą odwagę, na jaką tylko było stać dziesięciolatka, pół chłopca, pół widmo, pół gluta. A potem złapał za łańcuszek, jednym ruchem zerwał go z szyi i wbił w bańkę gwóźdź ze starego żelaza.

Bańka pękła.

Staw runął.

Tysiące litrów wody z hukiem uderzyły o dno jaskini, a wraz z nimi wodnice i Tsadkiel – wolny, nareszcie wolny! Tyle że sekundę potem stało się coś, o czym Bożek wcześniej nie pomyślał, coś bardzo zgodnego z prawami fizyki, czemu nie mógł już w żaden sposób zaradzić, bo stało się naprawdę, ale to naprawdę szybko.

Masa wody z impetem uderzyła o ziemię, wystrzeliwując po ścianach jaskini wysokie, zachłanne fale. W tej samej sekundzie chłopiec poczuł, jak trzy macki owijają się ciasno wokół jego piersi i pasa. Zdążył jeszcze nabrać powietrza, jednocześnie zaciskając powieki i pięść z łańcuszkiem – a potem pochłonęła go wściekła kipiela.

TRZYMAJMNIESTRZYMAJTRZYMAJTRZYMAJ!!!!!!!!!!



Jak gdyby słysząc ten niemy krzyk, Gucio wyteżył wszystkie mięśnie potwornego cielska. Ani myślał puścić! Uparcie trzymał się skał, bulgocząc i walcząc z prądem o bezbronno chłopca.

A Bożek... och, Bożek POCZUŁ! Jak gdyby ta woda, która przez tyle godzin, tyle dni obmywała anielskie ciało, przeniknęła

Tsadkiela na wylot i zabarwiła się jego emocjami – bólem, strachem, niepewnością. A nade wszystko tęsknotą, od której chciało pęknąć Bożkowe serce.

Kiedyś już słyszał tę historię. O tym, jak przed dziesięcioma laty wujek Konrad wziął pod opiekę cudzego anioła stróża. Tylko na pewien czas, na miesiąc czy dwa, już dokładnie nie pamiętał. I o tym, jak tamten człowiek nie wrócił. Jak porzucił Tsadkiela, bo go już nie chciał, nie kochał, nie potrzebował. O tym, jak Tsadkielowi pękło wtedy serce, a wujek – choć był, jaki był, choć już miał własnego anioła, małego i kochanego – postanowił, że spróbuje je posklejać.

Tak, Bożek słyszał o tym wszystkim, lecz nigdy dotąd się nie zastanawiał, jak wielki musiał być tamten ból odrzucenia, jak wielka niepewność, czy znajdzie nowy dom, nowego człowieka. A to wcale nie był ani pierwszy raz, ani pierwszy człowiek, który go odtrącił. Och, nie, byli inni, wielu, wielu innych. Zbyt wielu. Wszyscy chcieli, żeby Tsadkiel stał się kimś innym, bo nikt nie chciał go takim, jakim był naprawdę. To dlatego próbował być coraz lepszy, idealny w każdym calu, doskonały niczym posąg bez skazy. Miał nadzieję, że może tym zasłuży sobie na miłość człowieka i już nigdy więcej jej nie straci.

Kolejna fala szarpnęła Bożkiem i przyniosła ostatnie anielskie uczucie – przerażający, obezwładniający strach, wciąż świeży, bo sprzed ledwie paru dni, kiedy czarna, szponiasta łapa już-już wyciągała się po dziecko, które Tsadkiel w głębi ducha tak bardzo, bardzo kochał, chociaż ono wcale nie kochało jego, bo nie był dla niego dość dobry, dość radosny, dość anielski... A jednak nie zawahał się ani chwili. A jednak stanął między chłopcem a niebezpieczeństwem, gotów obronić go za wszelką cenę.

„Och, Tsadkielu...”

Aż naraz woda zaczęła uspokajać się i opadać, a macki rozluźniły chwyt. Bożek znowu mógł nabrać powietrza. Znowu czuł tylko siebie.

– TSADKIELU!!! – zawołał rozpaczliwie, rozglądając się po jaskini w poszukiwaniu anioła, który tak nieoczekiwanie zniknął mu z oczu i serca.

Tam! W dole! Tsadkiel stał tam, na skale wystającej ponad kipiel i bez wytchnienia bił swymi śnieżnobiałymi skrzydłami. Tylko tak mógł się opędzić od wodnic, które znów krążyły w pobliżu, raz po raz wyciągając po niego ręce i zanosząc się tęsknym śpiewem. Najwyraźniej nie zamierzały tak łatwo zrezygnować ze swej ofiary.

Widząc to, Gucio jak nie ryknął! Potężne, bulgoczące „MRRROOOAAARRR!!!” nie zdążyło przebrzmieć nawet w połowie, a mały potwór już leciał ze ścieżki do wody i ruszał aniołowi z odsieczą. Och, jakże się zakotłowało! Macki młóciły wodę i powietrze, bez cienia litości rozdając siarczyste pląsnięcia, a wodnice pierzchały z wściekłym wrzaskiem.

Lecz Tsadkiel nawet na moment nie przestawał bić skrzydłami. Wprost przeciwnie! Bił nimi coraz mocniej i mocniej, aż wreszcie Bożek zrozumiał, że nie chodziło mu tylko o atakujące wodnice. Na mokrych skrzydłach nie był w stanie polecieć!

– Tsadkielu! – zawołał raz jeszcze. – Tsadkielu, tutaj!

Ametystowe oczy spojrzały w górę i rozbłysły niewyobrażalną radością.

– BOŻKU! – Głos anioła poniósł się gromem i echem, od którego zadrżała jaskinia, a wraz z nią chyba całe piekło, aż po same posady. Tsadkiel wzbił się w powietrze na prawie już suchych skrzydłach, z dzielnym Guciem uczepionym pasa, i czym prędzej wyciągnął rękę do Bożka. Razem, anioł, potwór i chłopiec, unieśli się ku wyrwie, przez którą wpadało światło dnia.

Czyżby się udało? Czyżby uciekli?

– Tsadkielu, uważaj! – krzyknął chłopiec, spojrzawszy w dół. Kipiel pod nimi znów burzyła się, znów wzbierała, wynosząc ku górze rozwścieczone wodnice.

– WYŻEJ! – usłyszeli nagle. Od strony lasu gnały w ich stronę dwie postacie, jedna potężna, rogata i czarna, druga niewiele niższa, za to z burzą rozwianych loków. Spory kawałek za nimi dreptała trzecia, niska i pękata, ledwo przebierała krótkimi nóżkami.

– WYŻEJ!!! – ryknęła znów ciocia Oda, ani na sekundę nie zwalniając biegu.

„Nie da rady”, uświadomił sobie Bożek, czując, jak umęczony anioł drży z wysiłku ponad miarę. „Nie da rady. Spadniemy”.

– Doprawdy... alleluja! – wycedził Tsadkiel w odpowiedzi na tę krótką, przerażającą myśl.

I wtedy stało się coś NIESAMOWITEGO. Jeszcze bardziej niesamowitego niż czort w szaliczku, niż cmentarny demon, niż wędrówka przez piekło, wodnice i dziewczynka w czerwonym płaszczyku razem wzięci, coś, czego Bożek nigdy by się nie spodziewał! Najpierw Tsadkiel, nadludzkim, nadanielskim wysiłkiem woli, wzbił się ten jeden bezcenny metr wyżej. A potem ciocia Oda – kochana, ciepła ciocia Oda, której dłonie tak cudownie głaskały do snu, w której zielonych oczach przekora zawsze mieszała się z radością – ta sama ciocia zmarszczyła czoło, szarpnięciem uniosła ręce wysoko, wysoko nad głowę i raz jeszcze ryknęła straszliwym głosem:

– PRECZ!



I wraz z tym jednym jej słowem zerwał się wiatr, potężny wiatr i z rykiem przetoczył się przez polanę, rozbijając zasy, zginając drzewa niemal do ziemi! Wiatr pachnący wiosną w samym środku zimy, pachnący słońcem i miłością, radością i wolnością... Lecz nie dla wodnic. Te wrzasnęły, bezsilne w obliczu potęgi, która

nieubłaganie wgniatała je z powrotem do piekielnej czeluści, gdzie było ich miejsce.

Wycieńczony anioł również nie miał już sił, żeby walczyć albo chociaż wylądować na ziemi. Zamiast tego, pchnięty zbłąkanym porywem wiatru, runął, a wraz z nim Gucio i Bożek, prosto w miękki śnieg i ciemność bez przytomności.

Kiedy Bożek znów otworzył oczy, zobaczył nad sobą zatroskaną kozią paszczę.

– A ne mófiłem, że Odzinka jeszt sztraszna, kjedy sze żeżłoszczy? Mófiłem?

– Tak, Bazylku, mówiłeś, mówiłeś...

Czort, bardzo dumny z siebie, pomógł mu podnieść się z ziemi i otrzepać ze śniegu. Bożek rozejrzał się po polanie, szukając pozostałych.

Nieco dalej, na samym brzegu stawu, którego taflę pomału ścinał świeży lód, stały ciocia Oda z Ossą, naprzeciwko nich zaś Tsadkiel – znów dostojny i posągowy, tyle że normalnie, po swojemu. Obok Gucio skrupulatnie okładał sobie śniegiem wymęczone, poobijane macki, przy okazji lepiąc małego bałwana. A woda znów była spokojna. Zniknęły wodnice wraz ze swym tęsknym śpiewem i pustymi objęciami, zniknęła dziewczynka w czerwonym płaszczku. Wszystko wyglądało tak... zwyczajnie.

– To ciebie czułem przez cały ten czas! – Po długim milczeniu anioł przemówił wreszcie oskarżycielskim tonem, spoglądając spode łba na Odę. – Nie czorta, nie demona, tylko ciebie. Zwiodłaś mnie!

– No cóż... – Ciocia wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przepraszająco. – Na swoją obronę mogę jedynie dodać, że nikt wcześniej nie uskarżał się na mój zapach. Wybacz.

– Kim ty jesteś, alleluja? – zapytał Tsadkiel. – Ale tak naprawdę?

– Naprawdę? Lekarzem. Przyjaciółką. Kobieta. Ciocią...

– Jesteś zielonym wiatrem! – domyślił się Bożek, podbiegając do nich, z małym czortem drepczącym u boku. – Ta dziewczynka chciała, żebym w zamian za pomoc obiecał jej zielony wiatr. Chodziło o ciebie, co nie?

Oda i Ossa wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

– Jaka dziewczynka, Bożku? – zapytała ciocia.

– No... taka w czerwonym płaszczyku. Spotkałem ją tam, na dole. Była bardzo blada i... chyba bardzo zła.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – odparła ciocia, ze smutkiem kiwając głową. – Już raz zdołałam ją stąd przepędzić, uwięzić na dnie tego stawu. Ale widzę, że się nie poddaje i próbuje znów wrócić na powierzchnię.

– A... a przepędzisz ją drugi raz...? – zapytał chłopiec z wyraźną obawą, na co ona zaśmiała się po swojemu. I to już w sumie wystarczyło, żeby podnieść go na duchu.

– Och, bez obaw. Zrobię to tyle razy, ile będzie trzeba. I jeszcze jeden, tak dla pewności. – Puściła do niego oko, po czym już poważniejszym tonem zwróciła się do Tsadkiela: – Zapytałeś, więc ci odpowiem, aniele. Jestem wiłą. Tańczę, władam wiatrem, czasem doprowadzam kogoś do szału, a w wolnych chwilach strzegę tego miejsca przed prawdziwym złem.

– A ja jej f tym pomagam! – dodał z dumą Bazyl.

– Ach, właśnie. Co cię tyczy ciebie, Bazylku...

– Doształem nepelne insztrukcje! – Czort z godnością uprzedził wszelkie pretensje. – Żabroniłasz mi móficz Boszkofi, kim naprafde jesztesz, i profadzacz go w nebeszpjeczne mjejszcza, tak? Ale ne pofjedżałasz mi, czo mam żrobicz, kjedy jedynym szposzobem na to, żeby on NE polażł f nebeszpjeczne mjejszcze, bendże pofjedżecz mu, kim naprafde jesztesz i czo mu żrobisz, jeszli tam poleżje! Fjencz... och, kogo ja oszukujem... – Bazyl zwiesił głowę, aż mu uszy oklapły. Nawet wstrząśnięty koczek sterczał jakoś tak mniej zawadiacko między różkami. – Zadkel mjał raczje. Ja sze fogle ne nadaje do opjeki nad dżeczkiem... Jesztem kjepszkim czortem sztrózem.

– Ja zaś równie kiepskim aniołem – rzekł na to Tsadkiel.

– Co?

– Co?!

– Czo...?

– Ocenilem cię po pozorach, nie dostrzegając, że za twą... sugestywną powłoką cielesną kryje się naprawdę szczere serce – ciągnął Tsadkiel, jak gdyby nie zauważył ogólnego zmieszania. –

Dziękuję, że ruszyłeś mi z pomocą, czar... Bazylu. To było szlachetne z twej strony. Oraz z twojej – zwrócił się do chłopca. – Gdyby nie wy...

Słyszając to, Bożek na znak protestu pokręcił złocistą głową.

– Nie! Gdyby nie my... znaczy, gdyby nie JA, w ogóle nie potrzebowałbyś niczyjej pomocy. Bo... bo ja byłem dla ciebie naprawdę niedobry, Tsadkielu. Chciałem, żebyś się zmienił, żebyś nie był sobą, tylko stał się taki jak Licho. A przecież ja sam też ciągle próbuję być sobą po swojemu i żyć po swojemu, i świętować, i w ogóle wszystko, a nie tak, jak wymyślili sobie inni, chociaż... – Westchnął, czując, że do oczu cisną mu się łzy. – Chociaż to wcale nie jest takie łatwe. Aniołowanie po swojemu też nie jest, a ja... ja... ja przepraszam.

Anioł zadarł głowę i przez chwilę w milczeniu patrzył w niebo, jak gdyby słowa, których szukał, kryły się gdzieś tam, zapisane w chmurach.

– Obawiam się, że choć liczę sobie już setki lat, to wciąż nie rozumiem emocji, Bożydarze – zaczął wreszcie z niespotykanym zdumieniem, które dało się słyszeć w jego zawsze tak pewnym głosie. – Chyba... chyba pora, abym zaczął się ich uczyć. Zraniłeś mnie, przyznaję, lecz ja również sprawiłem ci ogromną przykrość. I chyba dotąd nie przeprosiłem cię za to szczerze. Zatem – przepraszam. Mam nadzieję, że...

– Och, Tsadkielu!!! – zawołał chłopiec i wtulił się w swojego anioła.

Tsadkiel przygarnął go do siebie – wpierw niezdarnie, z wahaniem, po chwili zaś mocno, jak gdyby bał się, że chłopiec mu zaraz ucieknie. A potem uśmiechnął się tak, jak potrafią uśmiechać się tylko anioły stróże, kiedy tulą ukochane dziecko.

– Lepiej uważaj, Tsadkielu – mruknął Bożek, zerkając w górę i mrugając do niego zawadiacko. – Bo ci jeszcze tak zostanie!

Mama jechała szosą przez las, śpiewając na całe gardło największe hity zespołu ABBA. Nieważne, że nie umiała śpiewać, nieważne, że nie zawsze знаła słowa i zwykle rozmijała się z melodią. Śpiewała

tak, jak dorośli śpiewają tylko wtedy, kiedy wiedzą, że nikt ich nie słyszy – głośno, radośnie, wkładając w to całe serce. Dobrze, że członkowie ABBY wciąż żyli, bo jak nic przewróciliby się teraz w grobie. W rytm własnej muzyki, rzecz jasna.

Ale kto by nie śpiewał, będąc na jej miejscu? Koniec lazaretu, koniec szpachlowania bąbli! Chociaż Licho nadal było całe w zaschniętych już strupkach, podobnie jak Krakers (szczerze zachwycony tym nowym deseniem w biało-fioletowe ciapki), a Konrad wciąż kuśtykał niczym dzwonnik z Notre Dame, to epidemia ospy wietrznej, która przetoczyła się przez ich dom, oficjalnie dobiegła już końca. I teraz mama jechała po Bożka – trochę stęskniona, ale też bardzo radosna, że go wreszcie zobaczy, dlatego śpiewała piosenkę za piosenką, a droga mijała jej szybko jak nigdy. Nim się obejrzała, minęła ostatni zakręt i oto już zjeżdżała na ścieżkę pośród drzew, już sunęła przez las w stronę polany, na której dawno temu stał zupełnie inny dom, teraz zaś mieszkała Oda.

Na miejscu mamę powitały szaleńcze okrzyki i śnieżna zadymka o ściśle lokalnym zasięgu – tak mniej więcej w promieniu kilkunastu metrów od Gucia, który w niewiarygodnym tempie miotał śnieżkami w stronę Bożka, Tsadkiela i... kozy? (Tu mama na moment się zawiesiła, bo ta koza z jakiegoś powodu siedziała na drzewie, owinięta pasiastym szaliczkiem). Chłopiec i anioł dzielnie odpowiadali na ostrzał potwora, podczas gdy koza z wysokości zagrzewała ich do boju. A wokół całego tego zwariowanego towarzystwa biegał mały, kudłaty pies i szczekał z zapalem, którego wystarczyłoby dla całej sfory.

Mama zatrzasnęła za sobą drzwiczki i ruszyła w ich stronę. Zmarszczyła brwi. Bożek miał na sobie zwykłe dżinsy zamiast narciarskich spodni! Na dodatek zapomniał o szaliku i śnieg sypał mu się za kołnierz niedopiętej kurtki. Mama już chciała podbiec i ją poprawić, podciągnąć zamek pod samą szyję, a najlepiej wyżej, żeby Bożek przypadkiem nie dostał kataru albo chrypki, zaraz jednak opanowała ten impuls. Skoro Tsadkiel bawił się tuż obok jak gdyby nigdy nic, oznaczało to, że wszystko było dobrze.

Zaraz, zaraz...

Tsadkiel?

BAWIŁ?!



Nie rozumiała, co się dzieje. Przecież żyła z tym aniołem pod jednym dachem już dziesięć lat i jeszcze nigdy nie widziała, żeby się z kimkolwiek bawił! A właśnie to robił – rzucał śnieżkami razem

z jej synem jak gdyby nigdy nic, wciąż złocisty i posągowy, lecz już nie tak zimny, nie tak nieprzystępny jak zawsze, a jego piękną, doskonałą twarz ożywiały uśmiech. Może nie szeroki, za to najprawdziwszy, najszczęśliwszy pod słońcem.

– Mama!!! – usłyszała naraz wrzask swojego syna. Bożek, zgrzany i zarumieniony, już gnał w jej kierunku. – Cześć, mammo!

– Cześć, kochanie! – Prawie zbił ją z nóg, tak mocno się do niej przytulił. Dziwne. Nie widzieli się ledwie dwa tygodnie, a wydawał się wyższy i jakby... jakby doroślejszy. – Jak się... Bożydarze Antoni Jekielku, co ci się stało w twarz?!

– Och, wiesz. – Machnął ręką, jak gdyby strup na pół nosa nie był niczym szczególnym. – Takie tam... przygody.

Wziąwszy się pod boki, mama spojrzała na niego surowo.

– Ach, tak? Mam nadzieję, że nie zjeżdżałeś znów na sankach ze schodów. Już chyba raz o tym rozmawialiśmy, że to kiepski pomysł, prawda?

– No co ty, mammo! – oburzył się Bożek. – Wcale nie zjeżdżałem na żadnych sankach! Znaczący, zjeżdżałem, ale na pupie, i nie ze schodów, tylko ze skały do piekła i była tam taka straszna dziewczynka, i wodnice próbowały utopić Tsadkiela, bo Tsadkiel pokłócił się z ciocią Odą o Osę i Bazylą, bo Ossa to demon, a Bazyl to czort, chociaż wygląda jak koza, no i Tsadkiel miał z tym problem egzystencjalny i uciekł, i te wodnice go chciały utopić w stawie, o tam, ale myśmy z Bazylem i Guciem po niego poszli, bo ja najpierw zapytałem i tato mi pozwolił, no i wtedy trochę się poobijaliśmy i podarłem sobie spodnie, i zdarłem skórę z nosa, ale w sumie to było czadowo!

Mama zamrugnęła, po czym przesunęła spojrzenie z radosnego syna na anioła, jak zwykle niewzruszonego jak kamień, a potem na Ode, która właśnie wyszła z domu.

– Dzień dobry! – zawołała, machając na gościa z werandy. – Zapraszam na herbatę. A oni niech się wyszaleją na zapas.

– Cóż, w sumie... czemu nie? – odparła mama i szybko dołączyła do Ody. – Chyba... chyba się fajnie bawili, co? – zapytała, przekraczając próg, dziwnie przekonana, że już kiedyś słyszała te słowa. Nawet chyba nie tak dawno.

A ciocia Oda nic nie powiedziała, tylko uśmiechnęła się porozumiewawczo za jej plecami – i Bożek się uśmiechnął, i Bazyl, i Gucio, i Tsadkiel też. Bo tak jak w życiu dorosłych były Sprawy, Których Dzieci Nie Zrozumieją, tak też w życiu dzieci, aniołów i czortów zdarzały się Przygody, w Które Trudno Uwierzyć Dorosłym.

KONIEC

Straszne cytaty z poezji okolicznościowej w klimacie grobowym pochodzą z *Lenory* Gottfrieda Augusta Bürgera w przekładzie Antoniego Edwarda Odyńca, *Bema pamięci żałobnego rapsodu* Cypriana Kamila Norwida, *Do trupa* Jana Andrzeja Morsztyna oraz *Dziadów* (cz. II) Adama Mickiewicza. Za co wszystkich czytelników (i Bazyla) najmocniej przepraszam, ale to silniejsze ode mnie.

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska
Redaktor prowadzący: Anna Salwa, Ewa Pustelnik
Redakcja: Piotr Chojnacki
Korekta: Adrian Kyć, Ewa Hartman
Projekt okładki oraz ilustracje na okładce i wewnątrz książki: Paulina Wyrnt

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6727-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo